

**Na plaży leżał drobny piasek, a ostrygi galpowały jak okiem sięgnąć. Poszukiwały perel. W gruncie rzeczy nikt nigdy nie pyta się, skąd ostrygi biorą perły: ot, mamy wyjaśnienie. Perły na próżno się chowały, ostrygi były bardzo wprawne i biegały szybciej od nich.**

*Z Bajki na użytek osób w średnim wieku*

BORIS VIAN

# Pociąg do opowiastek

Opowiadania

Przełożył Marek Puszczewicz

Wydawnictwo „Krag' Warszawa 1991

Opowiadania pochodzą z następujących edycji: *Les Fourmis* © Le Terrain Vague 1968; *Le Loup-garou* © Christian Bourgois Editeur, 1970; „Obliques” numero special, 1976 nr 8-9

© for the Polish translation by Marek Puszczewicz

Okładkę i strony tytułowe projektował Dariusz Piastowski <

Redaktor Marek Piekut

ISBN: 83-85199-07-1

## Wilkołak

W lasku Fausses-Reposes, u podnóża Pikardii żył sobie bardzo ładny dorosły wilk, o czarnej sierści i wielkich, czerwonych oczach. Nazywał się Denis, a jego ulubioną rozrywką było obserwowanie samochodów nadjeżdżających od strony Ville-d'Avray, pędzących pełnym gazem, by wjechać na lśniący stok, na którym ulewa rozpościera czasami oliwkowe odbicie wielkich drzew. Lubił również błąkać się letnimi wieczorami po zagajniku, by tam zaskakiwać niecierpliwych kochanków w ich walce z komplikacjami elastycznych elementów, jakimi, niestety, w naszych czasach obciąża się większą część bielizny. Ze stoickim spokojem obserwował wyniki tych wysiłków, niejednokrotnie uwieńczonych sukcesem i oddalał się wstydliwie odwracając głowę, gdy zdarzało się, że ofiara z pełną akceptacją traciła, jak to się mówi, wianek. Będąc spadkobiercą długiej linii cywilizowanych wilków, Denis odżywiał się trawą i błękitnymi hiacyntami, wzbogaconymi jesienią kilkoma markowymi grzybami, zaś zimą, całkiem wbrew swojej woli, mlekiem w butelkach, podwędzonym z żółtej ciężarówki Spółdzielni Mleczarskiej. Nie cierpiał mleka z powodu jego niemowlęcego smaku i od listopada do stycznia przeklinał nielaskawość tej pory roku, zmuszającej go do szkodzenia własnemu żołądkowi.

Denis żył w dobrej komitywie ze swymi sąsiadami, gdyż, ze względu na jego dyskrecję, nie mieli pojęcia, że on w ogóle istnieje. Krył się w małej grocie, wydrążonej kilka lat wcześniej przez jakiegoś pozbawionego nadziei poszukiwacza złota, który, będąc świadomym prześladowanego go przez całe życie pecha i mając pewność, że nigdy nie napotka swego „Koszyka Pomarańczy” (patrz: Louis Boussenard), postanowił jednak prowadzić roboty ziemne, równie bezowocne jak i maniakalne, w klimacie przynajmniej umiarkowanym. Denis urządził sobie tam wygodną siedzibę, przystrajaną w miarę upływu lat ozdobnymi deklami z kół, muterkami i częściami samochodowymi, zebranymi na drodze, gdzie często miały miejsce wypadki. Pasjonując się mechaniką lubił kontemplować swe trofea, marząc o warsztacie naprawczym, który miał niezłomny zamiar założyć pewnego dnia. Cztery żeliwne korbowody podtrzymywały kłapę od bagażnika używaną w charakterze stołu; łóżko składało się ze skórzanych siedzeń ze starego Amilcara, co przelotnie się zakochał w potężnym i masywnym platanie, zaś dwie opony stanowiły luksusowe ramy do portretu ukochanych rodziców; wszystko to gustownie się łączyło z najbardziej banalnymi przedmiotami zgromadzonymi ongiś przez poszukiwacza.

Pewnego pięknego, sierpniowego wieczora Denis odbywał drobnym kroczeniem swój codzienny trawienny spacer. Księżyc w pełni przerabiał liście na mroczną koronkę, a w jasnym świetle oczy Denisa lśniły łagodnymi, rubinowymi refleksami, jak wino d'Arbois. Denis zbliżał się do dębu, punktu końcowego przechadzki, kiedy los zesłał na jego drogę Syjamskiego Maga, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Etienne Pampie i małą Lisette Cachou, ciemnowłosą kelnerkę z restauracji Groneil, którą Mag zawiódł do Fausses-Reposes pod jakimś zwodniczym pretekstem. Lisette miała na sobie nowiuteńki gorset elastyczny i temu właśnie szczegółowi, którego zniszczenie kosztowało Syjamskiego Maga sześć godzin solidnych wysiłków, Denis zawdzięczał owo spóźnione spotkanie.

Na nieszczęście dla Denisa okoliczności były bardzo niesprzyjające. Wybiła dokładnie północ. Syjamski Mag był istnym kłębkim nerwów, zaś wokół rosły w dużej obfitości wilcze lyko, gołąbki wymiotne i białe króliki, które od pewnego czasu towarzyszą obowiązkowo zjawisku lykantropii — lub raczej antropolukii, o czym zaraz będziemy mogli przeczytać. Rozwścieczony pojawieniem się Denisa, tak przecież dyskretnego, który odchodził mamrocząc jakieś przeprosiny, rozczarowany Lisette, Syjamski Mag, którego nadmiar energii musiał się wyładować w taki czy inny sposób, rzucił się na niewinne zwierzę i ugryzł je okrutnie w ramię. Jęcząc z przerażenia Denis umknął galopem. Wróciwszy do siebie został powalony przez jakieś anormalne zmęczenie i zapadł w ciężki sen przerywany przez

koszmary.

Powoli zapomniał o incydencie, a dni znów zaczęły płynąć, identyczne i różnorodne. Nadchodziła jesień i wrześnieowe przypyływy, które ciekawie wpływają na drzewa czerwieniąc im liście. Denis opychał się twardzioszkar i borowikami, dopadając czasem kilka opieniek, praw niewidocznych na pokrytych korą cokołach, uciekając j przed zarazą przed niejadalnym sromotnikiem bezwstydnym. Teraz lasy szybko wyludniały się wieczorem, a Denis kładł się wcześniej spać. Jednak zdawało się, że to go nie odpręża i po nocach naszpikowanych koszmarami bud, się z niesmakiem w pysku i obolałymi kośćmi. Postradał nawet zapał do mechaniki i nieraz południe zaskakiwało go we śnie, ściskającego w bezwładnej łapie ściereczkę, którą miał przetrzeć jakąś część z pokrytego patyną mosiądzu. Jego odpoczynek był coraz częściej zakłócany i dziwił się, że nie może odkryć co jest tego przyczyną.

Nocą w czasie pełni księżyca wyrwał się gwałtownie ze snu, dygocząc w gorączce, ogarnięty przez intensywne uczucie zimna. Przecierając oczy zdziwił się niespotykanym wrażeniem, jakiego doznał i zaczął szukać światła. Wkrótce włączył wspaniałą lampę, którą kilka miesięcy wcześniej odziedziczył po Mercedesie ogarniętym obłędem i oślepiający blask urządzenia oświetlił wszystkie zakątki jego pieczary. Kulejąc podszedł do lusterka umieszczonego nad toaletką. Zdziwił się, że stoi na tylnych łapach — lecz jeszcze bardziej był zaskoczony, gdy jego wzrok padł na inny obraz: z małego, okrągłego zwierciadła patrzyła nań dziwna twarz, biaława, bezwłosa, w której jedynie dwoje pięknych, rubinowych oczu przypominało jego dawny wygląd. Wydawszy nieartykułowany okrzyk spojrzął na swoje ciało i pojął przyczynę lodowatego chłodu ogarniającego go zewsząd. Jego gęsta, czarna sierść zniknęła, a przed oczami stało nieproporcjonalne ciało jednego z tych ludzi, z których miłosnej nieudolności na ogół szydził.

Trzeba było wyjść jak najprędzej. Denis rzucił się ku kufrowi wypchanemu różnymi ciuchami pozbieranymi przy okazji wypadków. Instynkt kazał mu wybrać szary garnitur w białe paski, o dystyngowanym wyglądzie, do którego dobrał gładką koszulę, w kolorze drzewka różanego i bordowy krawat. Gdy tylko wdział to ubranie, zaskoczony, że zachowuje równowagę, której nie pojmował, poczuł się lepiej i zęby przestały mu dzwonić. Wtedy jego zagubione spojrzenie padło na kupkę czarnego futra rozsypanego wokół legowiska i zapłakał nad straconym wyglądem.

Mimo to wziął się w garść dzięki nadzwyczajnemu wysiłkowi woli i spróbował postawić kropkę nad i. Lektury wiele go nauczyły i sprawa wyglądała jasno: Syjamski Mag był wilkołakiem i on, Denis, ugryziony przez to stworzenie miał z kolei zamienić się w człowieka. i Na myśl, że miałyby żyć w nieznanym świecie, opadła go najpierw gwałtowna trwoga. Będąc człowiekiem pomiędzy ludźmi na jakież to niebezpieczeństwa się narażał!

Samo przypomnienie jałowych walk, jakim oddawali się we dnie i w nocy konduktorzy z Wybrzeża Pikardyjskiego dawało mu symboliczny przedsmak surowej egzystencji, przed którą, chcąc nie chcąc, trzeba się było ugiąć. Potem zastanowił się. Jego przekształcenie, zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem i o ile książki nie kłamały, miało trwać krótko. Dlaczego by więc z tego nie skorzystać i nie zrobić wypadu do miasta? W tym miejscu, trzeba przyznać, przypomniały mu się niektóre sceny widziane w lasach, nie wzbudzając w nim bynajmniej takich myśli jak kiedyś i wilk złapał się na tym, że przesuwa językiem po wargach, co pozwoliło mu stwierdzić, iż ozór, mimo wszystko, jest równie spiczasty jak przedtem. Podszedł do lusterka i przyjrzał się sobie z bliska. Własne rysy nie były mu tak niemiłe, jak się tego obawiał. Otworzywszy usta stwierdził, że nadal ma podniebienie pięknego czarnego koloru i że zachowuje całkowitą kontrolę nad uszami, być może ździebko zbyt długimi i włochatymi. Lecz twarz, którą oglądał w małym, kulistym lusterku, przy jej wydłużonym owalu, matowej cerze i białych zębach, zdawała si niewątpliwie zadowalająca w porównaniu z wyglądem znanych mu osób. A zresztą należy pogodzić się z tym, cc nieuniknione i w przyszłości starać się obrócić to na swoje korzyść. W przypiływie ostrożności postanowił jednak przed samym wyjściem odszukać czarne okulary, za którymi

mógł w razie potrzeby skryć rubinowy blask ślepiów Zaopatrzył się również w nieprzemakalny płaszcz, zarzuci go na ramię i zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom Kilka chwil później, niosąc lekką walizkę i wdychając powietrze poranka, które zdawało mu się szczególnie wyprane z zapachów, znalazł się na skraju drogi i ze zdecydowaną miną wystawił kciuk w stronę pierwszego dostrzeżonego samochodu. Wybrał kierunek paryski, wiedząc z codziennego doświadczenia, że auta rzadko zatrzymują się wjeżdżając pod górę, a dużo chętniej zjeżdżając z niej, gdyż grawitacja pozwala wtedy na łatwiejsze ruszenie.

Jego elegancja sprawiła, że bardzo szybko został wzięty pod opiekę niezbyt śpieszącej się osoby i rozsiadłszy się wygodnie po prawej stronie kierowcy, szeroko otworzył ogniste oczy na nieznanne zjawiska wielkiego świata. Dwadzieścia minut później wysiadał na Placu Opery. Było jasno i chłodno, a ruch pozostawał w granicach przyzwoitości. Denis puścił się śmiało przez pasy i ruszył bulwarem w kierunku hotelu Scribe, gdzie zażądał numeru z łazienką i salonem. Zostawiwszy walizkę służbie wyszedł prawie natychmiast, by zakupić rower.

Ranek minął jak sen. Denis sam już nie wiedział, o co zahaczyć pedałem. Odczuwał w skrytości własnego ja ukradkową chęć odszukania jakiegoś wilka, aby go ugryźć, lecz sądził, że nie będzie łatwo znaleźć ofiarę. Pragnął też uniknąć nadmiernego wpływu, jaki mogły wywrzeć na niego *rzeczy* opisywane w traktatach. Nie wykluczał, że przy odrobinie szczęścia udałoby mu się zbliżyć do zwierząt w Ogrodzie Botanicznym, lecz wolał zachować tę możliwość na wypadek wzmożonego popędu. Nowy rower przykuwał całą jego uwagę. Owa niklowana rzecz fascynowała go, a poza tym miała mu ułatwić powrót do pieczary.

W południe Denis zaparkował swoją maszynę pod hotelem, na oczach lekko zaskoczonego portiera; lecz elegancja Denisa, a zwłaszcza jego rubinowe oczy, zdawały się pozbawiać ludzi zdolności uczynienia najmniejszej uwagi. Z lekkim sercem ruszył na poszukiwanie restauracji. Wybrał jedną, porządnie wyglądającą i dyskretną. Nadmierny tłum nadal robił na nim wrażenie i pomimo rozległej kultury ogólnej lękał się, czy jego manieri nie świadczą o pewnego rodzaju prowincjonalizmie. Poprosił by go posadzono nieco na uboczu i by obsługa się pośpieszyła.

Lecz Denis nie wiedział, że w tym tak na pozór spokojnym miejscu, właśnie tego dnia odbywało się comiesięczne zebranie Miłośników Muzyki Chevesne Rambolitain i stało się tak, iż w samym środku posiłku ujrzał jak wylewa się nagle cała procesja dżentelmenów o zdrowych cerach i jowialnych manierach, którzy za jednym zamachem zajęli siedem czteroosobowych stolików. Denis nadał się wobec tak gwałtownego napływu i, jak się tego spodziewał, *maitre d'hôtel* podszedł grzecznie do jego stolika:

— Bardzo pana przepraszam — powiedział ten gładko wygolony i natłuszczony mężczyzna — ale czy mógłby pan wyświadczyć nam przysługę i dzielić stół z tą panną?

Denis rzucił okiem na siusiare i natychmiast się oddał.

— Będę uszczęśliwiony — powiedział na wpół wstając.

— Dziękuję panu — powiedziało stworzenie melodyjnym głosem. Takim, jaki wydaje piła, gdy po niej pociągnąć smyczkiem, mówiąc ściśle.

— Skoro pani mi dziękuje — ciągnął Denis — to cóż powinienem uczynić ja? Rozumie się samo przez się, oddziękować.

— To niewątpliwie klasyczny przypadek działania opatrności — zaopiniowało cudo.

I natychmiast pozwoliła upaść swojej torebce, którą Denis pochwycił w locie.

— Och! — zakrzyknęła. — Ależ pan ma nadzwyczajny refleks!

— No — potwierdził Denis.

— Ma pan również dość dziwne oczy — dodała pięć minut później. — Patrząc na nie myślę o... o...

— O! — skomentował Denis.

— Olbrzymich granatach — dokończyła.

— Jak to na wojnie — rzekł Denis.

— Nie nadażam...

— Chciałem powiedzieć — uściślił Denis — iż spodziewałem się, że wspomni pani o rubinach, mając jednak do czynienia z granatami pomyślałem natychmiast o fenomenach, które na zasadzie związku przyczynowo-skutkowego ewokują wizję wojny.

— Opuścił pan mury Szkoły Nauk Politycznych? — zapytała brązowa sarenka.

— By nigdy więcej do nich nie powrócić.

— Uważam, że jest pan dość fascynujący — zapewniła banalnie panienka, która — mówiąc między nami — przestała nią być już dawno i to wielokrotnie.

— Chętnie odwicwersiłbym to pani i to w rodzaju żeńskim — odkomplementował Denis.

Razem opuścili restaurację i mała szelma wyznała wilkowi, co stał się mężczyzną, że niedaleko od tego miejsca zajmuje zachwycający pokój w hotelu Pod Srebrnym Tłuczkiem.

— Niech pan zajdzie obejrzyć moje sztychy japońskie

— szepnęła Denisowi do ucha.

— Czy to aby bezpieczne? — zatroskał się Denis. — Pani mąż, brat, czy ktokolwiek z rodziny nie będzie się niepokoił?

— W zasadzie jestem sierotą — jęknęła mała, muskając łezką czubkiem wrzecionowatego palca.

— O jakże mi przykro! — skomentował grzecznie jej elegancki towarzysz.

Gdy wchodził za nią do hotelu zwrócił uwagę na wielce interesującą nieobecność recepcjonisty oraz na fakt, że takie mnóstwo czerwonego, miękkiego pluszu znacznie odróżnia to miejsce od jego własnego hotelu. Jednak schody ukazały mu najpierw pończochy, przylegające do łydek ślicznotki, której pozwolił — chcąc się doksztalić — wyprzedzić się o sześć stopni. Doksztalciwszy się przyśpieszył kroku.

Myśl o spółkowaniu z kobietą nieco go zniechęcała swym komizmem, lecz przypomnienie Fausses-Resposes sprawiło, że przeszkoda ta zniknęła i wkrótce Denis wprowadził w czyn wiedzę zdobytą w czasie obserwacji. Pięknotka zechciała bardzo krzyknąć, że czuje się usatysfakcjonowana, a nieszczerłość zapewnień o wzlatywaniu w górę umknęła uwadze pocziwego Denisa, niezbyt doświadczonego w tej materii.

Ledwo wydobył się z czegoś w rodzaju letargu, tak innego od wszystkiego, czego zaznał do tej chwili, kiedy usłyszał jak zegar wybija godzinę. Dusząc się i blednąc osłupiał, widząc swoją towarzyszkę jak z wypiętym dupskiem — z szacunkiem dla was — szpera pośpiesznie w kieszeni jego marynarki.

— Pani chce moje zdjęcie! — zakrzyknął nagle, sądząc, że zrozumiał.

Schlebiało mu to, lecz pojął w odruchu, który ożywił jego dwudzielną półkulę mózgową, *błądność* takiego rozumowania.

— Ależ... hmm... tak, kochanie — powiedziała słodka nie wiedząc, czy on sobie kpi czy niet. Denis zasepił się. Wstał, podszedł i sprawdził zawartość portfela.

— Tak więc jest pani jedną z tych kobiet, o których można wyczytać okropności w dziełach literackich pana Mauriaca! — stwierdził Denis. — Kurwa, w pewnym sensie.

Już miała zareplikować i to jak, że dupę jej zawraca, że wisi jej jego mięso, że nie miała zamiaru zadawać się z jakimś typem dla przyjemności, lecz błysk w oku ucłowieczonego wilka sprawił, że zamiast tego zamknęła się. Z oczodołów Denisa promieniowały dwie czerwone wiązki, które utkwily w gaikach ocznych ciemnowłosej panienki i *wpędziły* ją w dziwny popłoch.

— Proszę się okryć i natychmiast stąd spadać! — zasugerował Denis.

Naszła go nieoczekiwana myśl, by dla wzmocnienia efektu zaryczeć. Nigdy jeszcze nie niepokoiło go takie pragnienie, lecz pomimo braku doświadczenia ryk zabrzmiał w sposób przerażający.

Całkiem przestraszona panienka ubrała się bez słowa w czasie krótszym niż trzeba zegarowi na wybicie dwunastu uderzeń. Denis, kiedy został sam, zaczął się śmiać.

Odczuwał perwersyjną przyjemność. Było to dość podniecające.

— To smak zemsty — wyraził głośno przypuszczenie. Zaprowadził porządek w swym

odzieniu, umył się tam gdzie należało i wyszedł. Była noc, a bulwar lśnił w cudowny sposób. Nie przeszedł nawet dwóch metrów, gdy podeszli do niego trzej mężczyźni. Odziani nieco wyzywająco, w zbyt jasne garnitury, zbyt nowe kapelusze i zbyt wypastowane buty, otoczyli go.

— Możemy pogadać? — zapytał najchudszy z trójki, o oliwkowej cerze, z delikatnym wąsikiem.

— O czym? — zadziwił się Denis.

— Nie strugaj wariata — wycedził jeden z pozostałej dwójki, czerwony i kwadratowy.

— Wejdzmy więc tutaj... — zaproponował oliwkowy, ponieważ przechodzili koło baru.

Denis wszedł, dość zaciekawiony. Aż do tego miejsca przygoda wydawała mu się sympatyczna.

— Panowie gracie w brydża? — zapytał trzech mężczyzn.

— Zaraz coś sobie wylicytujesz — ponuro stwierdził czerwony kwadratowy. Wyglądał na zirytowanego.

— Mój drogi — powiedział oliwkowy, kiedy weszli — niedawno postąpiłeś z pewną panią w sposób niezbyt elegancki.

Denis parsknął śmiechem.

— Kpiny sobie urządza, skurczybyk! — stwierdził czerwony. — Zaraz mniej mu będzie do śmiechu.

— Tak się składa — ciągnął oliwkowy — że my się interesujemy tą lalunią.

Denis nagle zrozumiał.

— Już wiem — powiedział. — Jesteście alfonsami. Wszyscy trzej wstali nagle.

— Nie prowokuj nas! — zagroził kwadratowy. Denis przyjrzał im się.

— Zaraz się rozzłoszczę — powiedział statecznie. — Będzie to po raz pierwszy w życiu, ale rozpoznaję to wrażenie. Zupełnie jak w książkach.

— Chyba nie myślisz, że się ciebie boimy, palancie! — rzucił czerwony.

Trzeci nie był gadatliwy. Zaciśnął pięść i zamachnął się. Kiedy kułak zbliżał się do podbródka Denisa, ten uchylił się, chwycił go za przegub i ścisnął. Trzasnęło.

Na czaszce Denisa wylądowała butelka, wilk zamrugał oczyma i cofnął się.

— Rozedrzemy cię na strzępy — powiedział oliwkowy.

Bar opustoszał. Denis przeskoczył przez stół i kwadratowego. Ten, zaskoczony, rozdziawił gębę, lecz miał dość refleksu, by pochwycić odzianą w zamsz nogę samotnika z Fausses-Reposes.

Wynikło z tego krótkie zamieszanie, efekty którego Denis, z oddartym kołnierzykiem, oglądał w lustrze. Szrama przecinała mu policzek, a jedno z oczu nabierało barwy indygo. Żwawo ułożył trzy bezwładne ciała pod ławkami. Pod żebrami serce mruczało mu wściekle. I nagle jego spojrzenie padło na zegar. Jedenasta.

— Do licha — pomyślał. — Muszę pryskać! Szybko włożył czarne okulary i pobiegł do hotelu.

Duszę miał przepelnioną nienawiścią, rozumiał jednak konieczność pośpiechu.

Zapłacił za pokój, wziął walizkę, wskoczył na rower i wystartował jak prawdziwy Coppi.

Dojeżdżał już do mostu w Saint-Cloud, kiedy zatrzymał go policjant.

— A więc nie ma pan świateł? — powiedział ten człowiek tak podobny do innych.

— He? — zapytał Denis. — Po co? Ja widzę!

— To nie po to, żeby pan widział — powiedział policjant. — To po to, żeby pana widzieli. A jeśli zdarzy się panu wypadek? He?

— Ach? — rzekł Denis. — Tak, to prawda. Ale jak działa to światło?

— Jaja pan sobie robisz ze mnie? — zapytał bydlak.

— Niech pan posłucha — powiedział Denis. — Naprawdę bardzo mi się śpieszy. Nie mam czasu na robienie sobie jaj.

— Więc chcesz pan mandat? — rzekł podły gliniarzyna.

— Jest pan nadmiernie upierdliwy — odrzekł wilk na pedałach.

— Dobra! — powiedziała niecna szuja. — To go pan dostaniesz.

Zaczął wyciągać swój karnet balowy i wieczne pióro, i na chwilę opuścił głowę.

— Pana nazwisko? — powiedział podnosząc ją.

Po czym zadał w swoją tubę dźwiękową, gdyż dostrzegł w oddali chyży rower Denisa, który właśnie rzucił się do ataku na zbocze.

Denis przyłożył się. Oslupiały asfalt ustępował pod jego szaleńczym naporem. Zbocze w Saint-Cloud zostało pokonane w mgnieniu oka. Przemknął przez bramę miasta ciągnącego się wzdłuż Montretout (co w niektórych językach znaczy: „Pokaż wszystko” — cienka aluzja do satyrów błędzących po parku w Saint-Cloud) i skręcił w lewo, w stronę Pont Noir i Ville d'Avray. Kiedy wynurzył się z tego szlachetnego miasta koło restauracji Cabassud, zauważył, tuż za sobą, jakieś poruszenie. Jeszcze bardziej przyśpieszył i wpadł na leśną drogę. Nagle w oddali zegar wybił północ.

Przy pierwszym uderzeniu Denis poczuł, że coś nie gra. Miał kłopot z dosięgnięciem do pedałów. Odniósł wrażenie, jakby skurczyły mu się nogi. Z błyskawiczną szybkością pokonywał leżące na piaszczystej drodze kamienie, gdy nagle dostrzegł w świetle księżyca swój cień — długi pysk, spiczaste uszy. Niespodziewanie padł jak długi, bo wilkowi na rowerze brak stabilności.

Na szczęście dla niego. Ledwie dotknął ziemi, a już jednym susem skoczył w gąszcz; zaś motor policyjny z trzaskiem rozbił się o przewrócony rower. Kierowca stracił jedno jądro, a ostrość słuchu w wyniku tego zmniejszyła mu się o trzydzieści dziewięć procent.

Denis, gdy tylko znów stał się wilkiem, zaczął się zastanawiać, biegnąc truchtem ku swemu domostwu, nad dziwnym szalem, jaki ogarnął go, gdy był w ludzkich łąkach. On, tak łagodny, tak spokojny, widział jak biorą w łeb jego zasady i pobłażliwość. Żądza zemsty, a jej skutki były najdotkliwsze dla trzech alfonsów z Madeleine — z których jeden, śpieszmy to powiedzieć na obronę prawdziwych alfonsów, pobierał pieniądze w Prefekturze, w obyczajówce — wydawała mu się równie podniecająca jak i nie do pomyślenia. Pokiwał głową. Co za pech z tym ukąszeniem przez Syjamskiego Maga. Całe szczęście — pomyślał — ta niemiła przemiana będzie się ograniczać do dni w czasie pełni księżyca. Coś mu jednak z tego zostało: owa niejasna, utajona złość, to pragnienie rewanzu, nadal go niepokoiły.

## **Prywatka u Leobille'a**

Powieki Foluberta Szpaka, uderzone bezpośrednio przez falisty promień słoneczny, przedostający się przez gęstwą żaluzji, miały od wewnątrz barwę czerwono-pomarańczową, a Folubert uśmiechał się przez sen. Lekkim krokiem szedł po białym żwirze, miękkim i ciepłym, w ogrodzie Hesperyd, a piękne jedwabiste zwierzątka lizały go po palcach nóg. W tym momencie obudził się. Z dużego palucha zdjął delikatnie Fryderyka, oswojonego ślimaka i ustawił go w gotowości do następnego poranka. Fryderyk spuścił nos na kwintę, lecz nic nie powiedział.

Folubert usiadł na łóżku. Już od samego ranka spędzał wiele czasu na rozmyślaniach dotyczących całego dnia, oszczędzając sobie tym samym licznych przykrości, na jakie natrafiają te istoty nieuporządkowane, pełne skrupułów i niepokoju, którym najmniejsze działanie daje pretekst do niekończących się dywagacji (wybaczcie mi długość tego zdania) i to częstokroć bezprzedmiotowych, jako że zapominają o co w ogóle chodziło.

Musiał się zastanowić nad tym:

1. *Jak powinien się wyekwipować;*
2. *Jak się posilić;*

### 3. Jak powinien się rozerwać.

I tyle, bo była niedziela, a problem ze znalezieniem pieniędzy był już rozwiązany.

Tak więc Folubert przemyślał w owym właśnie porządku te trzy kwestie.

Starannie przeprowadził toaletę wyszczotkowawszy energicznie zęby i wysmarkawszy się w palce, po czym ubrał się. W niedzielę zaczynał od krawata, a kończył na butach — było to wspaniałe ćwiczenie. Z szuflady wyciągnął parę modnych skarpetek, utworzonych z naprzemiennych pasków: niebieski pasek, brak paska, niebieski pasek, brak paska *et caetera*. Przy tym modelu skarpet można sobie było pomalować stopy na dowolny kolor, który pojawiał się pomiędzy niebieskimi paskami. Folubert był nieśmiały, więc wybrał słoik z farbą zieloną w odcieniu niedojrzałych jabłek.

Co do reszty, to włożył swe codzienne ubranie, niebieską koszulę i czystą bieliznę, ponieważ myślał o *teńio*.

Na śniadanie zjadł śledzia z taczki, zakropionego słodką oliwą i kawałek chleba, świeżego jak oko i jak oko obramowanego długimi różowymi rżesami.

Wreszcie pozwolił sobie na myśl o niedzieli.

Tego dnia jego przyjaciel Leobille obchodził urodziny i na jego cześć odbywała się prywatka. Na myśl o prywatkach Folubert zatopił się w głębokich marzeniach. W gruncie rzeczy cierpiał na kompleks nieśmiałości i skrycie zazdrościł zuchwalstwa różnym, współczesnym mu bywalcom: pragnął posiadać gibkość Grouznie, połączoną z zapalczywością Doddy'ego, uroczą i szykowną elegancją Remonfola, pociągającą nieugiętością szefa Abadibaby lub olśniewającym piractwem któregokolwiek z członków Klubu Lorientańczyków.

A przecież Folubert miał ładne oczy w kolorze indyjskiego kasztana, lekko faliste włosy i wdzięczny uśmiech, którym podbijał wszystkie serca, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nigdy nie ośmielał się wyciągnąć korzyści ze swego ładnego wyglądu i zawsze był sam, kiedy jego koledzy elegancko tańczyli z ładnymi panienkami swinga, jitterburga lub galijskiego barbata.

To często nastrojało go melancholijnie, lecz nocą ukojenie znajdował w snach. Tam odnajdował siebie pełnego śmiałości i otaczały go piękne dziewczyny błagając, by wyświadczył im honor choć jednego tańca.

Folubert przypomniał sobie sen ostatniej nocy. Była to bardzo ładna osóbką w sukience z pieniekiej krepki w kolorze błękitnej lawendy, a blond włosy zakrywały jej ramiona. Nosila buciki z niebieskiego węza i ciekawą bransoletkę, której kształtu nie umiał opisać dokładnie. We śnie kochała go bardzo, a na koniec razem odeszli.

Z pewnością pocałował ją i być może nawet pozwolił sobie na wyświadczenie jej kilku dodatkowych grzeczności.

Folubert zaczerwienił się. Będzie miał dość czasu, by pomyśleć o tym udając się do Leobille'a. Pogrzebał w kieszeni, stwierdził, że zawiera dość pieniędzy i wyszedł, by zakupić butelkę jakiegoś jadowitego aperitif, najtańszego gatunku, bo on sam nigdy nie pił.

W tej samej chwili gdy budził się Folubert, Major, wyrwany ze snu przez chrapliwy głos swego poruszonego sumienia, wylądował na lepkiej podłodze sypialni ze smakiem wstrętnej, zwykłej alpagi w ustach.

Jego szklane oko lśniło ponurym blaskiem w mroku i marnym światłem oświecało szalik, który właśnie malował. Rysunek, przedstawiający początkowo oślą łączkę, gdzie paśli się wchodzący w szkodę narciarze, nabrał wyglądu weneckiej śmierci i Major już wiedział, że będzie musiał popełnić jakiś zły uczynek.

Przypomniał sobie o prywatce u Leobille'a i zarechotał dziko w tonacji re z krzyżykiem, zresztą na fałszywą nutę, co jasno wskazywało na jego pożałowania godny nastrój. Dostrzegłszy fiasko czerwonego wina wysączył jednym haustem oblepiający jej wnętrze ciepły strumień i od razu poczuł się lepiej. Potem, stojąc przed lustrem starał się upodobnić do Siergieja Andriejewa Papanina z *Iwana Groźnego*. Nic z tego nie wyszło, bo nie miał brody. Niemniej wynik był i tak niezły.



Major znów zaśmiał się szyderczo i poszedł do swego gabinetu, by tam opracować sabotaż prywatki u Leobille'a, na którym postanowił się zemścić. Leobille bowiem już od kilku tygodni rozpuszczał plotki na temat Majora, niezwykle tendencyjne, posuwające się nawet do twierdzenia jakoby ten ostatni sporządzał.

A to wymagało przykładowego ukarania.

Major znał się doskonale na tym, jak ujarzmić wszelkich wrogów, jacy mogli mu się napatoczyć na drodze, a to z jednej strony dzięki swemu niezwykle złemu wychowaniu, z drugiej zaś z powodu wrodzonych, podłych skłonności i złośliwości znacznie wykraczającej ponad przeciętną.

(Nie zapominając o ohydny wąż, jaki występnie hodował na górnej wardze, nie pozwalając insektom na zaatakowanie go; a który w ciągu dnia zakrywał siateczką, aby nie mogły się dostać do niego ptaki.)

Wzruszony Folubert Szpak stanął przed drzwiami Leobille'a i wsunął wskazujący palec prawej ręki w małą dziurkę przycisku dzwonka, który zaszył się gdzieś głęboko, bo spał.

Gest Foluberta przebudził go gwałtownie. Odwrócił się i ugryzł okrutnie palec Foluberta, który zaczął kwiczeć w przejmujący sposób.

Siostra Lóobille'a, czatująca przy wejściu, natychmiast otworzyła i Folubert wszedł. W przejściu siostra Leobille'a nakleiła na ranę kawałek plastra i uwolniła Foluberta od butelki.

Dźwięki płynące z gramofonu rozbrzmiewały radośnie pod sufitem mieszkania i owijały meble cieniutką warstwą muzyki, która je rozjaśniała i chroniła.

Leobille stał przy kominku i rozmawiał z dziewczynami. Widząc tę drugą, Folubert zmieszał się a ponieważ Leobille zmierzał ku niemu z wyciągniętą ręką, musiał skryć swe zakłopotanie.

— Dzień dobry — powiedział Leobille.

— Dzień dobry — odrzekł Folubert.

— Przedstawiam ci — powiedział Leobille. — Oplątek (to była pierwsza dziewczyna), to Folubert, a to Jennifer.

Folubert pochylił się przed Oplątkiem i spuścił oczy wyciągając dłoń do Jennifer. Ta ostatnia miała na sobie sukienkę z pianistej krepy w kolorze morskiej czerwieni, buciki z czerwonego węża i nadzwyczajną bransoletkę, którą rozpoznał natychmiast. Rude włosy zakrywały jej ramiona i w każdym szczególe była podobna do dziewczyny ze snu; oczywiście kolory były żywsze, lecz to normalne, bo w końcu śni się w nocy.

Leobille wyglądał na bardzo zajętego Oplątkiem, toteż Folubert bez zwłoki zaprosił Jennifer. W dalszym ciągu miał spuszczone oczy, gdyż tuż przed nim dwa obiekty, niezwykle interesujące, wciągały jego spojrzenie za kwadratowy dekolt, uniemożliwiający im swobodne oddychanie.

— Czy pan jest starym kumplem Lóobille'a? — zapytała Jennifer.

— Znam go od trzech lat — sprecyzował Folubert. — Spotkaliśmy się na treningu judo.

— Pan uprawia judo? Czy walczył już pan w obronie swojego życia?

— Hmm... — mruknął Folubert zakłopotany. — Nie miałem okazji. Biję się bardzo rzadko.

— Boi się pan? — zapytała Jennifer ironicznie. Folubertowi bardzo nie podobał się przebieg tej rozmowy. Usiłował odzyskać pewność siebie z ubiegłej nocy.

— Widziałem panią we śnie... — ośmielił się wreszcie.

— Mnie się nigdy nic nie śni — powiedziała Jennifer.

— Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Musiał pan coś pomylić.

— Była pani blondynką... — powiedział Folubert na krawędzi rozpaczy.

Miała szczupłą talię, a z bliska jej oczy śmiały się wesoło.

— Sam pan widzi — rzekła Jennifer — to nie byłam ja... jestem ruda...

— To była pani... — szepnął Folubert.

— Nie sądzę — odparła Jennifer. — Nie lubię snów. Wolę rzeczywistość.

Patrzyła mu prosto w twarz, lecz on nadal miał opuszczone oczy i nie zdawał sobie z tego

sprawy. Nie chciał jej za bardzo przyciskać do siebie, bo wtedy by nic nie widział.

Jennifer wzruszyła ramionami. Lubiła sport i chłopców śmiałych i energicznych.

— Lubię sport — powiedziała. — Lubię chłopców śmiałych i energicznych. Nie lubię snów i jestem tak żywa, jak to tylko możliwe.

Wyrwała się, bo płyta stanęła z przeraźliwym zgrzytem hamulców, ponieważ przyjaciel Leobille'a bez ostrzeżenia zamknął szlaban. Folubert powiedział „dziękuję” i chciał ją przytrzymać przy pomocy zręcznej i uwodzicielskiej rozmowy, lecz w chwili, gdy już prawie znalazł naprawdę uwodzicielskie zakłęcie, przemknął przed nim jakiś wielki i straszny niezgrabiasz i brutalnie ucałował Jennifer.

Napełniony zgrozą Folubert cofnął się o krok, lecz Jennifer śmiała się, więc zdruzgotany padł na głęboki fotel ze skóry bukłakowca.

Był bardzo smutny i zdawał sobie sprawę, że miała to być prywatka, taka jak inne, udana i pełna pięknych pańienek... ale nie dla niego.

Siostra Leobille'a szykowała się do otwarcia drzwi, lecz stanęła osłupiała słysząc detonację. Jedną ręką złagodziła łomotanie serca, zaś drzwi ustąpiły pod srogim kopniakiem Majora.

Ów trzymał w dłoni dymiący pistolet, z którego właśnie ustrzelił dzwonek. Jego skarpetki w kolorze musztardy ubliżały całemu światu.

— Zabiłem to wstrętne bydlę — powiedział. — A ty zajmij się ścierwem.

— Ależ — powiedziała siostra Leobille'a.

Po czym utonęła we łzach, gdyż dzwonek był z nimi od tak dawna, że stał się częścią rodziny. Szlochając umknęła do swego pokoju, a uszczęśliwiony Major wyciął hołubca po czym schował pistolet do kieszeni.

Nadchodził Leobille. Pełen dobrej wiary wyciągnął rękę do Majora.

Ten zaś położył na niej jakieś okropne paskudztwo, które znalazł przed wejściem do budynku.

— Facet spłyń — powiedział do Leobille'a drżącym głosem.

— Słuchaj... Chyba niczego nie popsujesz...

— Popsuję wszystko — powiedział Major lodowatym głosem szczerząc zęby.

Podszedł do Leobille'a i prześwidrował mu oczodoły nieznośnym spojrzeniem swego szklanego oka.

— Więc, facet, opowiadasz, że ja pracuję? — rzekł. — Mówisz, że sporządzałem? Pozwalasz sobie na podobne rzeczy?

Wziął głęboki oddech i ryknął.

— Facet, ta twoja prywatka — możesz to sobie od razu powiedzieć — będzie nieco ognista!... Leobille zbladł. Nadal trzymał w ręce to paskudztwo, które podał mu Major i nie śmiał się poruszyć.

— Ja... nie chciałem cię obrazić... — powiedział.

— Zamknij się, facet — rzucił Major. — Za każde zbędne słowo — wyplata.

Po czym podstawił nogę Leobille'owi, popchnął go brutalnie i Leobille przewrócił się.

Goście niczego nie zauważyli. Tańczyli, pili, gadali i parami znikali w wolnych pomieszczeniach, jak to na wszystkich udanych prywatkach.

Major udał się w stronę bufetu. Niedaleko od tego miejsca nadal zrozpaczony Folubert gryzł się w sobie na fotelu. Przechodząc Major poderwał go za kołnierz marynarki i postawił na równe nogi.

— Chodź się napić — powiedział. — Ja nigdy nie piję sam.

— Ależ... Ja nie piję nigdy.. — odrzekł Folubert. Znał nieco Majora i nie śmiał zaprotestować.

— Ruszaj — wrzasnął Major. — Tylko bez trucicia! Folubert spojrzał na Jennifer. Całe szczęście głowę

miała zwróconą w inną stronę i dyskutowała o czymś z ożywieniem. Co prawda — na nieszczęście — otaczała ją trzech chłopców, a dwaj inni leżeli u jej stóp, zaś szósty kontemplował ją z wysokości szafy.

Leobille podniósł się dyskretnie i szykował się do bezgłośnego czmychnięcia, by zaalarmować siły stojące na straży porządku, lecz pomyślał, że jeśli owe siły zadałyby sobie trud zajrzenia do innych pokojów, on sam, Leobille, ryzykował spędzenie nocy na posterunku.

Poza tym znał Majora i stwierdził, że i tak nie pozwoliłby mu on wyjść.

I rzeczywiście, Major czujnie obserwował Lsobile'a i przesłał mu spojrzenie, które go unieruchomiło.

Potem, trzymając cały czas Foluberta za kołnierz, wyciągnął pistolet i nie celując odstrzelił szyjkę butelce. Wszyscy goście odwrócili się zaskoczeni.

— Spadać — powiedział Major. — No, faceci, spadać; dupeńki mogą zostać.

Podał szklankę Folubertowi.

— Napijmy się!

Chłopcy zostawili dziewczyny i *zaczęli* wychodzić. Majorowi nie należało się sprzeciwiać.

— Nie mam ochoty pić — powiedział Folubert. Spojrzał na twarz Majora i pośpiesznie wypił.

— Twoje zdrowie, facet — powiedział Major.

Oczy Foluberta napotkały nagle twarz Jennifer. Stała w kącie z innymi dziewczynami i patrzyła na niego z pogardą. Folubert poczuł, jak nogi uginają się pod nim.

Major opróżnił swoją szklankę jednym haustem.

Prawie wszyscy chłopcy opuścili pomieszczenie. Ostatni (nazywał się Jaś Berdindin, kawał chwata) złapał ciężką popielnicę i rzucił nią w głowę Majora. Ten złapał instrument w locie i w dwóch susach dopadł do Berdindina.

— Ty... cho no tu — powiedział. Zaciągnął go na środek sali.

— Weźmiesz jedną z dziewczyn, którą zechcesz i rozbierzesz ją (dziewczyny jęknęły pełne zgrozy).

— Odmawiam — powiedział Berdindin.

— Uważaj, facet — ostrzegł Major.

— Wszystko, tylko nie to — powiedział Berdindin. Przerażony Folubert nalał sobie odruchowo drugą szklankę i wypił jednym haustem.

Major nic nie odrzekł. Podszedł do Berdindina i złapał go za ramię. Później wykręcił je bardzo szybko i Berdindin pofrunął w powietrze. Major, korzystając z tej pozycji, ściągnął spadającemu Jasiowi spodnie.

— No, facet — powiedział. — Szykuj się. Spojrzał na dziewczyny.

— Jest jakaś chętna? — zapytał śmiejąc się szyderczo.

— Dość — powiedział Berdindin, który oszołomiony kuśtykał i usiłował się ucześcić Majora. Obróciło się to przeciwko niemu. Major podniósł go i rzucił o ziemię. Berdindin zrobił „pląś” i tak został masując sobie zębra.

— Ruda — powiedział Major. — Cho no.

— Proszę zostawić mnie w spokoju — powiedziała bardzo blada Jennifer.

Folubert opróżnił właśnie czwartą szklankę i głos Jennifer zrobił na nim piorunujące wrażenie. Odwrócił się powoli na pięcie i spojrzał na nią.

Major podszedł do dziewczyny i gwałtownym ruchem urwał ramiączko jej morskiej sukni. (Prawdopodobnie skłania mnie do wyznania, że zaprezentowane widowisko było całkiem uciężne.)

— Proszę mnie zostawić — powiedziała Jennifer ponownie.

Folubert zakrył sobie oczy dłonią.

— To sen! — szepnął bezbarwnym głosem.

— Cho no — powiedział do niego Major. — Ty ją przytrzymasz kiedy facet będzie działał.

— Nie! — ryknął Berdindin. — Ja nie chcę!... Wszystko, tylko nie to... Tylko nie kobieta!

— Dobra — powiedział Major. — Jestem poczciwym Majorem.

Wrócił do Foluberta nie puszczając Jennifer.

— Rozbieraj się — powiedział — i zajmij się facetem. Ja zajmę się nią.  
— Odmawiam — powiedział Folubert. — I możesz iść zobaczyć, czy cię nie ma u Alfreda. Wkurzasz nas.

Major puścił Jennifer. Połknął potężny haust powietrza i jego klatka piersiowa poszerzyła się co najmniej metr dwadzieścia pięć. Zaskoczona Jennifer patrzyła na Foluberta nie wiedząc, czy powinna opuścić przód swej sukienki, czy rozsądniej było pozwolić Folubertowi, by rzyjrzął się temu widowisku i nabrał sił. Postanowiła wybrać to drugie rozwiązanie.

Folubert spojrzął na Jennifer i zarżał. Szybko zatupał miejscu i przypakował Majorowi. Ten, trafiony w splot słoneczny w chwili gdy już kończył napinanie torsu, złamał się wpół ze strasznym odgłosem. Prawie natychmiast prostował się, a Folubert skorzystał z tego, by zastosować całkiem klasyczny chwyt judo, polegający na opuszczeniu klientowi uszu na oczy i dmuchnięciu mu w dziurki nosa.

Major zrobił się jasnosiny i zaczął się dusić. W tym momencie Folubert, któremu siły zwielokrotniła miłość i aperitif, wsunął głowę między nogi Majora, uniósł go i ponad suto zastawionym stołem wyrzucił na ulicę przez szybę w oknie salonu.

W salonie Leobille'a, do którego wrócił spokój, zapanowała głęboka cisza, zaś Jennifer, nadal z zadartą sukienką, padła w ramiona Foluberta, który padł jak długi, bo dziewczyna ważyła swoje sześćdziesiąt kilo. Całe szczęście fotel ze skóry buklakowca stał tuż za nim.

Jeśli chodzi o Majora, to jego ciało zafalowało gwałtownie w powietrzu, lecz dzięki kilku przemyślnym rotacjom udało mu się doprowadzić do porządku. Miał niestety pecha i wpadł do czerwono-czarnej taksówki o otwieranym dachu, która uniosła go w dal, zanim zdał sobie z tego sprawę.

Kiedy już zdał sobie z tego sprawę, zmusił kierowcę do opuszczenia wozu, grożąc mu resztką złośliwości i skierował taksówkę w stronę swego domostwa, willi przy ulicy Lwie Serce.

Po czym, nie chcąc się uważać za pokonanego, zabił przez rozjechanie wędrownego handlarza, który i tak na szczęście nie mógł wędrować, bo nie miał nóg.

Zaś Folubert i Jennifer resztę wieczora spędzili na zszywaniu sukienki. Jennifer zdjęła ją dla wygody, a wdzięczny Leobille użyczył im na tę okazję swojego własnego pokoju i elektrycznego żelazka z chińskiej mozaiki, odziedziczonego po babce, które w jego rodzinie przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie od czasów pierwszej wyprawy krzyżowej.

## Przykra historia

Żółtawy sygnał lampy ulicznej rozjarzył się w szklistej i czarnej pustce okna. Była szósta wieczorem. Ouen spojrzął i westchnął. Budowa jego słowołapki wcale nie postępowała naprzód.

Nienawidził tych szyb bez zasłon, lecz *jeszcze* bardziej nie cierpiał zasłon i przeklął rutyniarską architekturę budynków mieszkalnych, od tysiącleci poznaczonych dziurami. Z ciężkim sercem ponownie zabrał się do pracy; chodziło o szybkie zakończenie dopasowania zębów w trybach rozkładacza, dzięki któremu zdania były dzielone na słowa tuż przed ich pochwyceniem. Prawie z lubością utrudnił sobie dodatkowo zadanie odmawiając przyznania spójnikom wartości prawdziwych słów; w związku z ich oschłością odmawiał tym wyrazom szlachetnego miana, eliminował je i gromadził w podrygujących pudełkach, gdzie tłumnie kłębiły się już kropki, przecinki i inne znaki przestankowe, zanim całkiem nie zostały usunięte wskutek filtracji. Proces banalny, mechanizm pozbawiony oryginalności, lecz trudny do właściwego wyregulowania. Ouen zdzierał sobie przy tym opuszki palców.

Jednak dość się już napracował. Odłożył cieniutką, złotą pęsetkę, poruszywszy kością

policzkową wystrzelił zegarmistrzowską lupe, którą miał osadzoną w oczodole i wstał. Jego członki poczuły nagłą potrzebę odprężenia. Czuł, że jest niespokojny i pełen siły. Wyjście na zewnątrz dobrze by mu zrobiło.

Chodnik w opustoszałej uliczce wymknął mu się spod nóg; Ouen, pomimo przyzwyczajenia, nadal *jeszcze* irytował się wobec tak nieoczekiwanego i przebiegłego postępowania. Zszedł z chodnika i ruszył skrajem jezdni pokrytej śliskim brukiem, wyznaczonej w blasku halogenowych żarówek lamówką przedwcześnie wyschniętego strumienia.

Spacer dobrze mu zrobił, powietrze wnikające wzdłuż przegrody nosowej, łechcące pod włos jego zwoje mózgowe, zmniejszyło powoli przekrwienie tego ciężkiego organu, dwupółkulowego i o znacznej objętości. Jest to zjawisko normalne, jednak Ouen dziwił się za każdym razem.

Obdarzony permanentną naiwnością żył intensywniej niż inni.

Doszedłszy do końca krótkiej, ślepej uliczki zawahał się, gdyż było tam skrzyżowanie. Będąc niezdolnym do dokonania wyboru poszedł dalej całkiem prosto; brak było argumentów mogących przemawiać za prawą bądź lewą stroną. Prosta droga wiodła dokładnie na most; mógł popatrzeć na dzisiejszą wodę, niewątpliwie niezbyt się różniącą wyglądem od wczorajszej; lecz wygląd wody to tylko jedna z tysiąca jej cech.

Uliczka, jak na ogół ślepe, była pusta i pocętkowana żółtym, wilgotnym światłem, którego żyłki zamieniały asfalt w salamandrę. Droga wznosiła się aż na sam szczyt garbu skamieniałego przęsła, umieszczonego w poprzek rzeki, by ją pożerać nieustannie. Ouen chętnie oparłby się warunkiem balustradę, pod warunkiem jednak, że byłaby ona wolna od gapiów zarówno po stronie górnego biegu rzeki, jak i po stronie jej biegu dolnego; gdyby znajdowali się już

tam jacyś osobnicy obserwujący rzekę, bezsensownie byłoby dorzucanie spojrzenia do wszystkich tych lubieżnie poplątanych wiązek wzrokowych. Wtedy wystarczyłoby pójść dalej, do następnego mostu, jak zwykle pustego, gdyż można się tam nabawić młodzieńczego trądziku.

Przemieniając w czerń pustkę ulicy chyłkiem przemknęli dwaj młodzi księża; od czasu do czasu zatrzymywali się i całowali tęsknie pod mrocznymi sklepieniami bram. Ouen rozczulił się. Zdecydowanie dobrze zrobił wychodząc; na ulicy można było zaobserwować krzepiące widowiska. Krok jego stał się lżejszy, a w myśli rozwiązał nagle ostatnie problemy związane z dopasowaniem części słowołapki; w gruncie rzeczy tak błahe: odrobina starania pozwoliłaby niewątpliwie na ich pokonanie, zmniejszenie, zmiażdżenie, poszatkanie, rozczłonkowanie, jednym słowem — skasowanie.

Następnie przeszedł jakiś generał; na skórzanej smyczy trzymał więźnia mającego pianę na ustach; w celu wyeliminowania ryzyka skaleczenia generała spętano go, a ręce miał związane na karku. Kiedy zaczynał okazywać niezadowolenie, generał ciągnął za smycz, a więzień kąsał wilgoć chodnika. Generał szedł szybko, skończył już dzień pracy i wracał do domu, by pożreć swoją zupę literową. Jak co wieczór miał ułożyć swoje nazwisko na brzegu talerza w trzykrotnie krótszym czasie niż więzień i na pełnych wściekłości oczach tego ostatniego pochłonąć oba talerze. Więzień nie miał szans: nazywał się Joseph Ulrich de Saxakrammerigothensburg, zaś generał zwał się Poi; lecz Ouen nie mógł domyślać się tego szczegółu. Zainteresował się jednak lakierkami generała i pomyślał, że na miejscu więźnia nie czułby się najlepiej. *Zresztą* na miejscu generała również; tyle że więzień nie wybrał sobie sam własnego; nie zawsze można znaleźć chętnych na stanowisko więźnia, podczas gdy jest spory kłopot z wyborem spośród kandydatów na śmieciarzy, gliniarzy, sędziów i generałów: jawny dowód, że nawet najohydniejsze zawody mają swe zalety. Ouen zatonął w rozmyślaniach na temat owych upośledzonych profesji. Jasne, że dziesięć razy lepiej było zajmować się konstruowaniem słowołapek niż być generałem. Dziesięć zdawało się nawet nieco zbyt skromnym mnożnikiem. Nie szkodzi, pozostawała zasada. Przyczółki mostowe były najeżone teleskopowymi lampami, sprawiającymi bardzo ładne wrażenie, a na dokładkę

umożliwiający mi nawigację. Ouen ocenił je zgodnie z ich wartością i przeszedł nie rzucając na nie okiem. Dostrzegł cel swej przechadzki i pośpieszył ku niemu. Coś go jednak intrygowało. Z jednej strony mostu dziwnie niepozorna sylwetka wychylała się za balustradę. Podbiegł. Była to młoda dziewczyna stojąca nad samą wodą, na małym gzymsie wyposażonym w kapinos do swobodnego odprowadzania wód meteorycznych. Wyglądała, jakby się wahała, czy ma się rzucić do wody. Ouen oparł się o balustradę tuż za nią.

— Jestem gotów — powiedział. — Teraz może pani ruszać.

Spojrzała na niego niezdecydowana. Była to ładna, beżowa dziewczyna.

— Zastanawiam się, czy powinnam skoczyć z mostu w górnym biegu rzeki, czy w dolnym — powiedziała. — W górnym mam oczywiście szansę zostać porwana przez nurt i ogłuszona przez filar. W dolnym skorzystam z wirów. Lecz niewykluczone, że oszołomiona skokiem *zaczepię* się o filar. Zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku znajdę się na widoku i prawdopodobnie przyciągnę uwagę jakiegoś ratownika.

— Ten problem zasługuje na chwilę refleksji — rzekł Ouen — i mogę jedynie przyklasnąć temu, że chce go pani potraktować poważnie. Oczywiście jestem do pani całkowitej dyspozycji, jako pomoc przy jego rozwiązaniu.

— Jest pan bardzo miły — powiedziała dziewczyna o czerwonych ustach. — Nurtuje mnie to do tego stopnia, że sama nie wiem co myśleć.

— Możemy to szczegółowo rozpatrzeć w jakiejś kawiarni — powiedział Ouen. — Kiepsko mi się dyskutuje bez napitku. Czy mógłbym coś pani zaproponować? Być może ułatwi to pani późniejsze przekrwienie mózgu.

— Bardzo chętnie — powiedziała dziewczyna. Ouen pomógł jej powrócić na most, co czyniąc

stwierdził, iż posiada ona sprytnie zaokrąglone ciało, w najbardziej wystających, a więc najwrażliwszych miejscach. Skomplementował je natychmiast.

— Wiem, że powinnam się zaczerwienić — powiedziała — lecz w gruncie rzeczy ma pan całkowitą rację. Jestem bardzo dobrze zbudowana. Niech pan popatrzy na moje nogi.

Zadarła swą flanelową spódniczkę i Ouen mógł do woli napawać się nogami oraz faktem, że była prawdziwą blondynką.

— Widzę co ma pani na myśli — odrzekł z okiem lekko wybałuszonym. — No cóż! Chodźmy więc na kielicha, a kiedy już coś ustalimy, wrócimy tutaj i rzuci się pani z właściwej strony.

Ruszyli pod rękę, synchronicznie, oboje bardzo weseli. Powiedziała mu swoje imię — Flawia — i ten dowód szczerości wzmógł jego zainteresowanie jej osobą, które już i tak było spore.

Kiedy usiedli sobie wygodnie w ciepłe, w skromnym lokalu, do którego przychodzili marynarze i ich barki, ciągnęła dalej.

— Wcale nie chciałam — zaczęła — by wziął mnie pan za idiotkę, lecz niepewność jaką odczułam przy wyborze kierunku mego samobójstwa towarzyszyła mi od zawsze; pora była więc najwyższa, bym ją wreszcie pokonała, przynajmniej tym razem. W przeciwnym razie przez całą moją śmierć będę kretynką i słabą na umyśle.

— Zło — zauważył Ouen — rodzi się stąd, że nie zawsze istnieje nieparzysta ilość możliwych rozwiązań. W pani przypadku ani górny, ani dolny bieg rzeki nie wydają się satysfakcjonujące. Jednak nie uda się uciec przed tym problemem. Gdzie by bowiem nie stał most na rzece, zawsze determinuje istnienie tych dwóch stron.

— Chyba, że u źródła — zauważyła Flawia.

— Tak jest — powiedział Ouen oczarowany taką aktywnością umysłu. — Lecz źródła rzek są na ogół niezbyt głębokie.

— Oto i problem — rzekła Flawia.

— A jednak — powiedział Ouen — zawsze istnieje możliwość odwołania się do mostu wiszącego.

— Zastanawiam się, czy nie byłoby to nieco nieuczciwe.

— A wracając do źródeł, to źródła rzeki Touvre mają takie natężenie wypływu wody, które

całkowicie wystarcza dla dokonania jakiegokolwiek zwykłego samobójstwa.

— To zbyt daleko — powiedziała.

— Gdzieś w okolicach Charente — stwierdził Ouen.

— Kiedy to wymaga tyle pracy — powiedziała Flawia — bo żeby się utopić, trzeba sobie zadać tyle trudu, że człowieka ogarnia rozpacz. Życ się odechciewa.

— A przy okazji — rzekł Ouen, którego to zagadnienie po prostu frapowało — skąd ten dramatyczny gest?

— To bardzo przykra historia — odrzekła Flawia wycierając jedyną łzę, której wynikiem był jedynie nieprzyjemny brak symetrii.

— Płonę z ciekawości — wyznał rozpalony Ouen.

— Opowiem ją panu.

Docenił prostotę Flawii. Nie kazała się prosić, by opowiedzieć swoją przygodę. Bez wątpienia miała świadomość, że wyznanie tego rodzaju może wzbudzić najwyższe zainteresowanie. Nastawił się na dość długie opowiadanie: ładna dziewczyna ma na ogół wiele okazji do konfliktów z bliźnimi; podobnie jak kanapka z konfiturami ma większe szansę na zgromadzenie informacji dotyczących anatomii i obyczajów muchówek niż paskudny i krostowaty krzemień. Toteż był pewien, że historia życia Flawii będzie się opierała na faktach i zdarzeniach, z których wypłynie budująca nauka moralna. Oczywiście budująca dla moralności Ouen: moralność osobista warta jest cokolwiek jedynie w oczach innego, gdyż samemu zbyt dobrze zna się ukryte racje, które zmuszają człowieka do przedstawienia jej w sposób silny, zwarty i gotowy.

— Urodziłam się — zaczęła Flawia — już dwadzieścia dwa i osiem dwunastych roku temu, w małym, normandzkim zameczku w okolicach Quettehou. Mój ojciec, ex-profesor dyscypliny w Instytucie Panny Dezyderii, dorobiwszy się tam fortuny odszedł na emeryturę, by nacieszyć się w pokoju swoją pokojówką i owocami wytrwałej pracy; moja matka, jedna z jego byłych uczennic, której uwiedzenie sprawiło mu wiele trudu — bo był bardzo brzydki — bynajmniej nie podążyła za nim, lecz żyła w Paryżu w naprzemiennym konkubincie z arcybiskupem i komisarzem policji. Mój ojciec, wściekle antyklerykalny, nie miał pojęcia o związku matki z tym pierwszym, gdyż w przeciwnym razie zażądałby rozwodu; lecz radował się z połowicznego pokrewieństwa łączącego go ze szpiclem, ponieważ pozwalało mu poniżyć tego ucziwego funkcjonariusza szyderstwami głoszącymi, iż ten musi się zadowalać resztkami z jego stołu. Poza tym mój ojciec posiadał znaczną fortunę pod postacią skrawka ziemi (odziedziczonej po przodku) w Paryżu, przy Placu Opery. Lubił udawać się tam co niedziela, by uprawiać karczochy pod samym nosem konduktorów autobusowych. Jak pan widzi, mój ojciec gardził mundurem we wszelkich postaciach.

— Ale co z panią w tym wszystkim? — zapytał Ouen doznając wrażenia, że dziewczyna gubi się.

— To prawda.

Wypiła łyczek zielonego napoju. I nagle zaczęła płakać bezgłośnie, jak idealny kran. Wyglądała na zrozpaczoną. Pewnie taka była. Wzruszony Ouen wziął ją za rękę. Natychmiast puścił, bo nie wiedział, co z nią zrobić. Jednak Flawia uspokoiła się.

— Straszny ze mnie głuptasek — powiedziała.

— Ależ skąd — zaprotestował Ouen uważając, że jest ona dla siebie nazbyt surowa. — Niepotrzebnie pani przerwałem.

— Opowiedziałam panu stek kłamstw — powiedziała. — Z czystej próżności. W rzeczywistości arcybiskup był zwykłym biskupem, a komisarz sierżantem z drogówki. Co do mnie to jestem krawcową i z trudem udaje mi się związać koniec z końcem. Klientki są nieliczne i paskudne, istne zołzy. Można by powiedzieć, że rechczą widząc jak się morduje. Nie mam pieniędzy, jestem głodna i nieszczęśliwa. A mój przyjaciel siedzi w więzieniu. Sprzedał jakieś tajemnice obcemu mocarstwu, lecz powyżej obowiązujących stawek, więc go aresztowano. Mój opiekun żąda zawsze mnóstwa pieniędzy; jest moim wujem; jeśli nie

pospłaca swoich karcianych długów, moja ciotka i jej sześcioro dzieci będą skazani na ruinę; zdaje pan sobie sprawę, najstarsze ma trzydzieści pięć lat, gdyby pan wiedział, ile to jada w tym wieku!

Zdruzgotana szlochała gorzko.

— Dniem i nocą macham igłą, bez rezultatu, bo nie mam już nawet za co kupić szpulki nici.

Ouen nie wiedział co powiedzieć. Poklepał ją po ramieniu i pomyślał, że trzeba by ją jakoś podnieść na duchu, tylko jak? Od dmuchnięcia się przecież nie podniesie. Chyba że... w gruncie rzeczy, czy ktoś w ogóle próbował?

Dmuchał.

— Co panu jest? — zapytała dziewczyna.

— Nic — odrzekł. — Westchnąłem, pani historia poruszyła mnie.

— Och — ciągnęła — to wszystko to *jeszcze* drobiazg. Ledwo śmiem opowiedzieć panu najgorsze.

Serdecznie pogłaskała ją po udzie.

— Proszę mi wszystko wyznać, to poprawia samopoczucie.

— Panu to poprawia samopoczucie?

— O rany — powiedział — tak się twierdzi. Bardzo to ogólnikowe, przyznaję.

— Lecz to bez znaczenia — odrzekła.

— Lecz to bez znaczenia — powtórzył.

— Istnieje dodatkowa okoliczność powodująca przemianę mej nędznej egzystencji w istne piekło — ciągnęła Flawia. — Mam niecnego brata. Sypia ze swoim psem, już od rana pluje na podłogę, kopie w tyłek kotka i wielokrotnie beka przechodząc koło dozorczyńni.

Ouenowi mowę odjęło. Kiedy lubieżność i zboczenie do tego stopnia deprawują umysł ludzki, zwykły człowiek nie jest w stanie tego skomentować.

— Jak pan sądzi — powiedziała Flawia — jeśli taki jest w wieku osiemnastu miesięcy, to co będzie później?

Tym razem wybuchła szlochem, niezbyt gęstym, ale dość grubym. Ouen poklepał ją po policzku, lecz ona płakała gorącymi łzami i natychmiast musiał zabrać swe poparzone macki.

— Ach — powiedział — moja biedna mała. Na to właśnie czekała.

— Jak już powiedziałam — dodała — pozostaje panu wysłuchanie najgorszego.

— Proszę powiedzieć — rzekł Ouen, teraz już gotów na wszystko.

Powiedziała mu, a on w pośpiechu wsadził sobie ciała obce do uszu, żeby tylko nie słyszeć; ta odrobina, która do niego dotarła, przyprawiła go o niezdrowe drżenie, od czego zwilgotniała mu bielizna.

— To wszystko? — zapytał mocnym głosem świeżo ogłuchłego człowieka.

— To wszystko — odparła Flawia. — Czuję się lepiej.

Jednym haustem wypiła swoją szklankę pozostawiając jej zawartość na stole. To szczeniackie zachowanie w najmniejszym stopniu nie rozweseliło jej rozmówcy.

— Nieszczęsne stworzenie! — westchnął wreszcie. Wyciągnął portfel na światło dzienne i przywołał kelnera, który podszedł pomimo widocznego wstrętu.

— Pan mnie wołał?

— Tak — rzekł Ouen. — Ile jestem winien?

— Tyle — odparł kelner.

— Proszę — powiedział Ouen dając więcej.

— Nie mówię panu dziękuję — stwierdził kelner — obsługa jest wliczona.

— Doskonale — rzekł Ouen. — Wynocha, śmierdzisz pan.

Kelner obrażony — dobrze było rozegrane — wyniósł się. Flawia patrzyła na Oueną z podziwem.

— Ale pan ma pieniędzy!

— Proszę wziąć, wszystkie — rzekł Ouen. — Pani bardziej ich brak niż mnie.

Ogarnęło ją osłupienie, jak w obecności świętego Mikołaja. Wyraz jej twarzy jest trudny do



opisania, jako że nikt nigdy go nie widział.

Wracał do siebie samotnie. Było późno, paliła się już tylko co druga latarnia, pozostałe spały na stojąco. Ouen szedł z opuszczoną głową i myślał o Flawii, o jej radości gdy brała wszystkie jego pieniądze. Czuł się kompletnie rozczulony. Ani jeden banknot nie został mu w portfelu, biedna mała. Człowiek w jego wieku czuje się zgubiony bez środków do życia. Jaka dziwna rzecz: przypomniał sobie, że są dokładnie w tym samym wieku. Tak była ze wszystkiego ogołocona. Teraz, kiedy już wszystko zabrała, zdał sobie sprawę, jakie to robi wrażenie. Rozejrzał się dookoła. Ulica lśniła bladym blaskiem, a księżyc stał dokładnie w osi mostu. Koniec pieniędzy. I ta słowołapka do wykończenia. Pustą ulicę zaludnił powolny orszak weselny jakiegoś lunatyka, lecz nie poprawiło to humoru Ouen. Znów pomyślał o więźniu. Dla tamtego wszystko było proste. Dla niego w gruncie rzeczy też. Most był coraz bliżej. Koniec pieniędzy. Biedna, biedna Flawia. Nie, prawda, ona teraz je miała. Lecz co za smutna historia. Nie można zaakceptować podobnej nędzy. Co za szczęście, że on się tu znalazł. Dla niej. Czy zawsze dla każdego zjawia się ktoś na czas?

Przeszedł za balustradę i stanął na gzymsie. Echa weseliska w strzępach dobiegały z oddali. Spojrzał w prawo, potem w lewo. Zdecydowanie miała fart, że on przechodził. Teraz nie było nawet kota. Wzruszył ramionami i pomacał pustą kieszeń. Oczywiście, w tych warunkach nie warto żyć. Ale o co chodziło w tej historii z górnym i dolnym biegiem rzeki?

Nie zastanawiając się wskoczył do rzeki. Było dokładnie tak, jak myślał: szło się na dno jak kamień. Strona miała niewielkie znaczenie.

## Szańce Południa

### I

Major, po uszy w długach, co nie zdarzyło mu się już od wielu lat, postanowił kupić samochód, by przyjemniej spędzić wakacje.

Najpierw wykorzystał wolną gotówkę, naciągnawszy swych trzech stałych kolegów na sakramencką popijawę, gdyż jego szklane oko nabrało koloru indygo, co było oznaką pragnienia. Kosztowało go to trzy tysiące franków — żałował tych pieniędzy tym mniej, iż nie miał najmniejszego zamiaru ich zwracać.

Uczyniwszy tym sposobem operację bardziej interesującą, postanowił skomplikować ją dodatkowo, tak by graniczyła z pogańskim cudem i zafundował sobie kolejną popijawę za pieniądze ze sprzedaży średniowiecznego pasa cnoty, nabijanego goździkami, ze skóry wytłaczanej tak mocno, że aż wyszły z niej wszystkie soki.

Nie zostało mu zbyt wiele rzeczy, choć i tak było ich za dużo. Czysz opłacił zegarkiem, przehandlował spodnie za szorty, koszulę za podkoszulek i zwarty i gotowy zabrał się do poszukiwania sposobu wydania resztki pieniędzy.

(W trakcie swych poszukiwań miał niefart i otrzymał spadek, lecz na całe szczęście dowiedział się zaraz, że nie będzie mógł z niego skorzystać przed upływem wielu miesięcy, co było okresem bardziej niż wystarczającym.)

Major posiadał jeszcze jedenaście franków i pewne zapasy. W tych warunkach nie mógł odjechać. Toteż przygotował u siebie prywatkę średniej wielkości.

Ta szczęśliwie się odbyła, a pod jej koniec pozostała mu jedynie stugramowa torebka curry w proszku, lekko zwiertzałej, której nikt nie miał siły dojeść. Wbrew jego przewidywaniom, sól selerowa, wielce doceniana, stanowiła bazę większości ostatnich podanych koktajli, zaś wszyscy mieli w pogardzie przygotowaną w tym celu curry.

(Niesłychany pech, który zdawał się prześladować Majora, chciał jednak, by jedna z zaproszonych pańienek zostawiła u niego torebkę z pięciuset frankami. Wyglądało na to, że

wszystko zacznie się od nowa, kiedy Major, w tak charakterystycznym dla niego przypiływie genialnego natchnienia zapragnął wyruszyć na wakacje wyposażony w zezwolenie na jazdę, otrzymane w sposób regulaminowy; od razu trzeba powiedzieć, że ta zachcianka uratowała go.)

## II

Major wtargnął do swego przyjaciela Bisona w chwili gdy ten zasiadał do stołu z żoną i Bisoniątkiem, czemu towarzyszyło srogie klapanie paszczyk; gotowały się kluchy, które Bisonowa raczyła przygotowywać przez całe dziesięć minut; cała rodzinka już radowała się na myśl o nadchodzącej wyzerce.

— Zjem obiad z wami! — zawołał Major drżąc z pożądania na widok kluchów z wody.

— Świntuchu! — powiedział Bison. — Wyczuleś je już z daleka, co?

— Święte słowa! — rzekł Major serwując sobie sporą miarkę przydziałowego wina, przechowywanego specjalnie dla niego, któremu pozwalano nieco skwaśnieć, aby nabrało dodatkowego smaku, nie licząc smaku oryginalnego, jak każdy wie, niepodważalnie doskonałego.

Bison wyjął z kredensu dodatkowy talerz i położył go na stole przed Majorem. Ten na ogół pozwalał się obsługiwać, nie żywiąc najmniejszej urazy do obsługującego.

— W rzeczy samej! — zawołał Major. — Dokąd jedziecie na wakacje?

— Nad morze. Chcę je zobaczyć przed śmiercią — oznajmił Bison.

— Świetnie — stwierdził Major. Kupuję samochód i zabieram was do Saint-Jean-de-Luz.

— Moment! — zawołał Bison. — Masz forszę?

— Absolutnie — powiedział Major. — Będę miał. Nie troszcz się o to.

— Masz tam jakąś kwaterę?

— Absolutnie — powiedział Major. — Moja babka, która umarła, miała tam chałupę, a mój ojciec ją zatrzymał.

Bison, który nie wyczuł o co biega, zrozumiał wreszcie, że chodziło o chałupę, nie o babkę.

Kluchy nadal pęczniały w wodzie, a Bisonowa już po raz trzeci schodziła do śmietnika, żeby usunąć nadwyżkę.

— Dobra, załóżmy — powiedział Bison. — Masz benzynę? Do samochodu jest to rzecz użyteczna.

— Można ją zdobyć — zapewnił Major. — Mając regulaminowe zezwolenie dostaje się talony.

— Doskonale! — zawołał Bison. — Znasz kogoś w prefekturze, żeby dostać zezwolenie?

— Nie — odrzekł Major — a wy dwoje też nikogo nie znacie?

— A to o to chodziło, co?

Bison spoglądał na niego bacznie i z dezaprobatą.

— Informuję was — weszła mu w słowo małżonka — że jeśli nie zjecie tych kluchów, będziemy musieli zmienić lokal, bo tu się już nie zmieścimy.

Cała czwórka rzuciła się na kluchy, myśląc z uciechą o tym, jakie grymasy czynili onegdaj Niemcy wobec normandzkiego masła i tłustej kielbasy.

Major pił jedną szklankę wińska za drugą; szklane oko zmuszało go do czynienia tego co konieczne dla podwójnego widzenia tak, żeby nie uronić ani kropli.

Deser składał się z kromek chleba, starannie szczerstwiającego i wsuniętego między dwa płatki różowej galaretki o zapachu *Origano de Cheramy*, w stylu Żuła Gouffe. Major wziął dwie dokładki i nic już nie zostało.

— Czy Annie dzięki swojej gazecie nie mogłaby nam wyrobić pleców w prefekturze? — zapytała Bisonowa. — Bo ja z tobą nie pojedę, jeśli nie będziesz miał zezwolenia.

— Wspaniały pomysł! — zawołał Major. — Bądź spokojna. Podobnie jak ty nie lubię glińiarzy. Na widok policjanta skręca mi jelito cienkie.

— Ale chyba trzeba by się pośpieszyć — zauważył Bison. — Moje wakacje zaczynają się za trzy tygodnie.

— Świetnie! — zawołał Major pomyślawszy, że będzie miał dość czasu na przepuszczenie pięciuset franków.

Wypił ostatni łyk wina, wyjął papierosa z paczki Bisonowej, beknął gwałtownie i wstał.

— Pójdę obejrzyć samochody — powiedział odchodząc.

### III

— Posłuchaj — powiedziała Annie — zapoznam cię z Pistolettim, facetem z prefektury, który zajmuje się zezwoleniami dla gazety. Prosta sprawa, sami zobaczycie, on jest bardzo miły.

— Zgoda — powiedział Major. — Myślę, że tym sposobem jakoś to pójdzie. Na pewno pójdzie. Pistoletti to wspaniały człowiek.

Siedząc na tarasie kawiarni Duflor czekali na nieco spóźnioną Bisonowa i jej syna.

— Myślę — rzekł Major — że ona przyniesie zaświadczenie lekarskie dla dziecka. To nam pomoże w uzyskaniu zezwolenia. Na pewno kazała je sobie na dzisiaj przygotować.

— Tak? — powiedziała Annie. — Zaświadczaające, że co?

— Że nie znosi podróży pociągiem — powiedział Major, przecierając swój przydymiony monokl.

— Oto i oni! — zawołała Annie.

Bisonowa biegła za Bisoniątkiem, które właśnie puściło jej rękę. Przebiegło piętnaście metrów i poróżniło się ze stoliczkiem stojącym na jednej nóżce pod Deux Maghosh, o blacie początkowo marmurowym, później kawałkowym.

Major wstał usiłując rozdzielić dziecko i stoliczek. Przybiegł kelner i zaczął protestować.

— Pan pozwoli — powiedział Major — wszystko widziałem. To stoliczek zaczął. I niech pan da spokój, bo każę pana zatrzymać.

Wyciągnął swoją fałszywą legitymację Bezpieki i kelner zemdłał. Wówczas Major zabrał mu zegarek i ciągnąc dziecko za rękę dołączył do Annie i Bisonowej.

— Mogłabyś pilnować syna — powiedział.

— Nie wkurzaj mnie. Mam zaświadczenie. To dziecko jest rachityczne i nie znosi podróży koleją.

To rzekłszy wymierzyła synowi soczysty policzek, który wprawił go w niejaką wesołość.

— Całe szczęście dla kolei... — szepnęła Major.

— A ty mi może powiesz, że nigdy nie połamałeś stolika w kawiarni? — zapytała groźnie.

— Nigdy w tym wieku! — zawołał Major.

— Pewnie! Bo jesteś opóźniony w rozwoju!

— Dobra! — odparł Major. — Nie dyskutujmy. Daj mi zaświadczenie.

— Pokaż — powiedziała Annie.

— Doktor nie robił żadnych trudności — powiedziała Bisonowa. — Każdy widzi, że to dziecko jest rachityczne. Zostaw to krzesło!...

Bisoniątko złapało właśnie za oparcie krzesła sąsiedniego konsumenta i wszystko to zważyło się z niejakim hukiem ciągnąc za sobą kilka szklanek.

Major zmył się dyskretnie udając, że sika pod drzewem, zaś Annie udawała taką, co to nikogo nie zna.

— Kto to zrobił? — zapytał kelner.

— To Major — powiedziało Bisoniątko.

— Ach tak? — zapytał kelner z niedowierzającą miną. — A nie przypadkiem dziecko, Madame?

— Pan oszalał — powiedziała. — On ma trzy i pół roku.

— A Mauriac jest niedorozwinięty — podsumowało Bisoniątko.

— Święte słowa — powiedział kelner i przysiadł się, żeby podyskutować o literaturze.

Podniesiony na duchu Major powrócił do stolika i usiadł pomiędzy dwiema kobietami.

— Tak więc — powiedziała Annie — odnajdziesz Pistolettiego...

— Co myślisz o Duhamelu? — zapytał kelner.

— Myślisz, że to się uda? — zapytał Major.

— Duhamel jest znacznie przeceniany — odrzekło Bisoniątko.  
— Oczywiście — powiedziała Annie. — Z listem od gazety...  
— To pójdę jutro — rzekł Major.  
— Dam ci mój rękopis — powiedział kelner — i powiesz, co o nim myślisz. Akcja toczy się w kosmatym szybie. Sądzę, że mamy podobne gusta.  
— Kelner, ile jesteśmy panu winni? — zapytała Annie.  
— Nie — powiedziała Bisonowa. — Ja płacę.  
— Panie pozwolą! — zawołał Major.  
A ponieważ nie miał złamanego grosza, kelner pożyczył mu pieniądze, żeby mógł zapłacić i Major zostawiając suty napiwek z roztargnienia schował drobne do kieszeni.

#### IV

— Pójdę otworzyć — ryknęło Bisoniątko.  
— Wkurzasz mnie — odparł ojciec. — Dobrze wiesz, że jesteś za mały, żeby sięgnąć do zasuw.  
Rozwścieczone dziecko skoczywszy jak kot rzuciło się nogami w górę i wyglądało na zaskoczone znalazłszy się na pupie i ujrzawszy wielką, zieloną gwiazdę.  
Był to Major. Wyglądał normalnie, o tyle o ile jego płaski kapelusz rozbłyskiwał dziwnymi, zmiennymi refleksami: nażarł się indyka.  
— No i? — zapytał Bison.  
— Mam samochód! Renault 1927, *coach* z kufrem z tyłu.  
— A maska podnosi się z przodu? — zapytał zaniepokojony Bison.  
— Owszem... — przyznał Major z żalem — i ma oświetlenie z magneto oraz ezoteryczny hamulec na rurze wydechowej.  
— To stary system — zauważył jego rozmówca.  
— Wiem o tym dobrze — powiedział Major.  
— Ile?  
— Dwadzieścia tysięcy.  
— To niedrogo — ocenił Bison. — Ale też, w gruncie *rzeczy*, nie za darmo.  
— Nie, no i właśnie dlatego musisz mi pożyczyć pięć tysięcy franków, żebym mógł sfinalizować transakcję.  
— A kiedy zwrócisz? — Bison wyglądał na nieufnego.  
— W poniedziałek wieczorem, jak rany — zapewnił Major.  
— Hmm! — mruknął Bison. — Nie mam coś zaufania.  
— Ja to rozumiem — powiedział Major i bez podziękowania wziął pięć tysięcy franków.  
— Byłeś w prefekturze?  
— Idę tam teraz... Zawsze się waham, kiedy mam się znaleźć pośród bandy mundurowych, zawziętych i oburzających.  
— W takim razie radź sobie jakoś — powiedział Bison wyrzucając go na klatkę schodową — i idź tam nieco szybciej.  
— Do widzenia! — wrzasnął Major z niższego piętra. Wrócił po dwóch godzinach.  
— Mój stary — powiedział — jeszcze coś nie gra. Musisz złożyć deklarację zaświadczającą, że posiadasz niezbędną ilość benzyny.  
— Dupę mi zawracasz! — zawołał Bison. — Mam potąd tych wszystkich opóźnień. Już od tygodnia jestem na urlopie i wcale mnie nie bawi siedzenie tutaj. Lepiej byś zrobił zabierając się z nami pociągiem.  
— Posłuchaj, to jednak przyjemniejsze — pojechać tam samochodem i wygodniej zaopatrywać się na miejscu.  
— Oczywiście — rzekł Bison — ale kiedy już tam zajadę, będę musiał natychmiast wracać, bo mi się urlop skończy. A poza tym jeszcze nas zapuszkują po drodze...  
— Teraz już pójdzie jak z płatka — zapewniał Major. — Napisz mi ten papier. Albo wszystko będzie w porządku, albo pojedę z tobą pociągiem.

— Pójdę z tobą — powiedział Bison. — Po drodze wpadnę do biura i każę sekretarce przepisać to na maszynie.

Tak się też stało. Weszli do prefektury trzy kwadransy później i przemierzywszy zawikłany labirynt korytarzy dotarli do biura Pistoletiego.

Pistoletti, sympatyczny pięćdziesięciolatek, lekko spiczasty, nie kazał im czekać dłużej niż pięć minut. Po kilku chwilach pertraktacji wstał i pociągnął ich za sobą zabierając formularze i załączniki wypełnione przez Majora i Bisona.

Przeszli wąskim korytarzykiem, tworzącym zabudowaną kładkę, łączącą dwa sąsiednie budynki. Serce Majora kręciło się bardzo szybko wokół własnej osi i buczało jak norymberski bąk. W sklepionym korytarzu długie rzędy ludzi czekały przed drzwiami biur, niektórzy zlorzeczyli, a inni szykowali się na śmierć. Zostawiano ich na miejscu i zbierano wieczorem.

Pistoletti wszedł bez kolejki. Wszedł i wyglądał na zakłopotanego faktem, iż nie znalazł się przed osobą, którą miał nadzieję zobaczyć.

— Dzień dobry, panie Pistoletti — powiedział tamten.

— Dzień dobry panu — powiedział Pistoletti. — Proszę, chciałbym dostać pański podpis na tym podaniu, które jest zgodne z regulaminem.

*Mężczyzna przejrzał plik dokumentów.*

— No cóż! — powiedział. — Pan zaświadcza, iż posiada niezbędne paliwo, w związku z czym nie ma potrzeby dawania przydziału.

— Hmm... — powiedział Pistoletti — poprosiłem pana Majora o takie oświadczenie ponieważ pan... ponieważ pana poprzednik zasugerował nam... by zdobyć benzynę, w sumie...

— Tak? — powiedział tamten. Napisał na papierze:

*Bez przydziału.*

*Petent twierdzi, że posiada niezbędne paliwo*

— Dziękuję! — powiedział Pistoletti i wyszedł z papierami.

Podrapał się w czaszkę i rozrzucił po korytarzu krwawe strzępy. Przechodzący policjant pośliznął się i omal nie upadł, zaś Major zaśmiał się szyderczo, lecz natychmiast odzyskał powagę widząc twarz Pistoletiego.

— Coś nie gra? — zapytał Bison.

— No cóż... — odparł Pistoletti — zajrzemy teraz do Moreli... Wkurza mnie to... Urzędnik, z którym się widziałem, został zmieniony, ten zaś nie wygląda mi na takiego, co byłby podobnego zdania. Ale... Może się jednak udać. Tyle że tamten mówił, że z tym papierem wszystko pójdzie jak z płatka...

— Ruszajmy tak czy inaczej — powiedział Bison. Pistoletti w otoczeniu dwóch kompanów dotarł do

końca korytarza i natychmiast wszedł przed nosem pierwszej osoby z kolejki. Major i jego przyjaciel usiedli na okrągłej ławeczce otaczającej podstawę jednego z filarów podtrzymujących sklepienie. Dla zabicia czasu odliczali do tysiąca po cztery i pół. Piętnaście minut później Pistoletti wyszedł z biura. Minę miał taką sobie.

— Proszę — powiedział. — Napisał „przyznać” na podaniu, napisał datę, powiedział „dobrze” i zapytał „a dokąd?” Wtedy odpowiedziałem mu, a raczej przeczytał sobie, złapał się za wątrobę i zawołał „to stanowczo za daleko!” i przekreślił wszystko co napisał. Wątrobę ma w kiepskim stanie.

— A więc — zapytał Bison — odmowa?

— Tak... — odrzekł Pistoletti.

— A co pan sądzi? — powiedział Bison, któremu z butów zaczęła wydobywać się gęsta para — gdyby tak dać dziesięć tysięcy franków tej pańskiej Moreli, nie dostalibyśmy zezwolenia?

— Jak to — oburzył się Major — to już nie można zawieźć samochodem dziecka, które nie znosi podróży koleją?

— A o cóż my ich prosimy — ciągnął Bison. — O nic! *Przecież* nie o benzynę, bo mówimy, że ją mamy. Prosimy ich o podpis na papierze, by móc przewietrzyć gablotę, mając w

domyśle, że paliwo wykombinuje się na czarnym rynku! I co?

— I nic, bo to popaprańce! — zawołał Major.

— Posłuchajcie... — powiedział Pistoletti.

— To łajdaki! — zawołał Bison.

— Moglibyście zacząć wszystko od początku... — zasugerował speszony Pistoletti.

— O nie! — zawołał Bison. — Już mamy jasność! Wynosimy się stąd!

— Bardzo mi przykro — powiedział Pistoletti.

— Ani trochę nie mamy panu za złe — rzekł Major.

— To nie pańska wina, że Morela cierpi na wątrobę.

Wykorzystali zakręt korytarza by wziąć Pistolettiego w kleszcze i porzucili zwłoki w jakimś kącie.

— Co robimy? — zapytał Bison wychodząc.

— Mam to gdzieś — odrzekł Major. — Jadę bez zezwolenia.

— Nie zrobisz tego, bo pójde po bilety na dworzec

— powiedział Bison. — Nie cierpię gliniarzy.

— Poczekaj do wieczora! — zawołał Major. — Mam coś na widoku. Ja też ich nie cierpię. Robią na mnie ponadfizyczne wrażenie.

— Dobra — zgodził się Bison. — Zadzwoń do mnie.

## V

— Jest zgoda! — zawołał głos Majora w słuchawce.

— Ach! Masz ją? — zapytał Bison. Wcale w to nie wierzył.

— Nie, ale będę miał. Wróciłem tam z pewną dziewczyną, przyjaciółką Pały, kumpla, którego poznałeś u mnie. Ona zna w prefekturze mnóstwo ludzi. Udała się do Moreli i załatwiła. Obiecali mi zezwolenie...

— Kiedy je dostaniesz?

— W środę o piątej!

— Dobrze! — zawołał Bison. — Zobaczymy...

## VI

W środę o piątej odpowiadano Majorowi, że korzystniejszy wydaje się dzień następny o jedenastej. W czwartek o jedenastej zasugerowano mu, by przyszedł po południu. Po południu oznajmiono mu, że wydaje się piętnaście pozwoleń dziennie, a on jest szesnasty, a ponieważ nie chciał posmarować, nie dostał zezwolenia.

Kolesie urzędników wchodzili bez przerwy, a samych urzędników wystarczyło akurat by im wydawać zezwolenia w ramach wyświadczenia sobie grzeczności. Prośli Majora, by pomógł im wypełnić papiery. Ten odmówił i oddalił się zostawiając na biurku odbezpieczony granat, którego huk w momencie gdy wychodził z prefektury był balsamem lejącym się na jego serce. A Bison, jego żona i Bisoniátko kupili bilety do Saint-Jean-de-Luz. Musieli poczekać aż do następnego poniedziałku, bo wszystkie pociągi były przepełnione. W sobotę wieczorem Major opuścił luksusowe mieszkanie przy ulicy Lwie Serce i ruszył swoim Renault. Było rzeczą oczywistą, że dojedzie do Saint-Jean jako pierwszy i przygotuje mieszkanie na przyjazd przyjaciół. Obok niego siedział Jaś Pała, któremu Major winien był już trzy tysiące franków, a za nim Józefina, przyjaciółka Majora, której połowę zawartości torebki Major świeżo wydał na solidną popijawę.

Samochód wiozł również bagaże: dziesięć kilo cukru, które Pała wiozł dla mamusi do Biarritz, niebieskolistnego lemoniadowca, którego miał zamiar zaaklimatyzować w Kraju Basków, dwie klatki pełne ropuch i gaśnicę wypełnioną perfumami lawendowymi, bo czterochlorek węgla brzydko pachnie.

## VII

Aby uniknąć spotkania z tymi parzyście występującymi dwónogami, odzianymi na granatowo, a zwanymi żandarmami, wyjechawszy ze stolicy, Major ruszył boczną drogą, noszącą pompatyczne miano Narodowej Trzysta Sześć, w skrócie N-306. Niestety, mógł się

na nich natknąć nawet przy temperaturze zero stopni Fahrenheita.

Chcąc jechać we właściwą stronę kierował się wskazówkami Pały. Ten czytał mapę Michelina, którą trzymał rozłożoną na kolanach. Po raz pierwszy w życiu zajmował się tego rodzaju czynnością.

W rezultacie, o piątej rano, po przejechaniu ośmiu godzin ze średnią pięćdziesiąt na godzinę, Major dostrzegł na horyzoncie wieżę Montlhery i natychmiast zawrócił, gdyż jadąc dalej w tamtym kierunku trafiłby prosto do Paryża, od strony Porte d'Orleans.

O dziewiątej wjeżdżali do Orleanu. Pozostał tylko litr benzyny, a Major był szczęśliwy. Nie widzieli ani jednej policyjnej czapki.

Pała miał jeszcze dwa i pół tysiąca franków, które zamienili na dwadzieścia litrów benzyny i pięć kilo ziemniaków, gdyż, zważywszy na wiek samochodu, trzeba było mieszać benzynę z kawałkami kartofli w stosunku jeden do czterech.

Opony wyglądały na odporne. Po krótkim postoju po tankowaniu Major pociągnął za sznurek zawiadujący zaworem skrzyni biegów, gwizdnął dwukrotnie, dał parę do tyłu i Renault ruszyło.

Opuściwszy N-152, tylnym mostem przecięli Loarę i ruszyli mniej uczęszczaną N-751.

Zniszczenia spowodowane w czasie okupacji sprzyjały rozwojowi bujnej, wodnej roślinności w kałużach i koleinach: dziurawce wymachiwały swymi następnikami we wszystkich kierunkach, podczas gdy polny trzyczasz wślizgiwał się fioletową nutką pomiędzy opalizujące odpryski kutw.

Fermy, rozrzucone tu i ówdzie, przerywały monotonię drogi powodując za każdym razem przyjemne uczucie zmniejszania wagi moszny, podobne do tego, jakie ma się przejeżdżając z pełną szybkością przez garbaty mostek. W miarę jak zbliżali się w stronę Blois zaczęli dostrzegać pojawiające się kury.

Dziobały po rowach zgodnie z planem roztropnie przemyślanym przez wieśniaków. W każdą z dziurek wydrążonych przez ich dzioby następnego dnia wkładano ziarenka słonecznika.

Major miał ochotę na *zjedzenie* kury i zaczął niepokoić kierownicę. Jednocześnie przekręcał klucz od rury wydechowej i tym sposobem zwolnił do szybkości jaką rozwija człowiek w pasiece.

Jedna kurka rasy Houdan, duża i tłusta, wystawiła się tyłem, z zadartym zadkiem. Major przyspieszył ukradkiem, lecz kura odwróciła się zniemacka z wyzywającym spojrzeniem. Całkiem obojętny, lecz, bądź co bądź, poruszony, Major jak gdyby nigdy nic skręcił kierownicę o dziewięćdziesiąt stopni i musieli zwrócić się do miejscowego listonosza, spotkanego na drodze, z prośbą o pomoc w wyciągnięciu samochodu spod stuletniego dębu, którego skoszenie spowodował szybki refleks Majora.

Po naprawieniu szkody Renault nie chciało dalej jechać i Pała musiał wsiąść, i przez pięć kilometrów straszyć je „a pódziesz ty!...”, nim się zdecydowało ruszyć dalej, po czym parsknęło na znak niezadowolenia i pozwoliło mu wsiąść.

Bynajmniej nie zniechęcony Major przejechał przez Clery, dotarł do Blois i spikował na południe drogą N--764, w kierunku Pont-Levoy. Nadal nie było widać policjantów, więc odzyskiwał wiarę.

Pogwizdywał marsza wojskowego, a każdy takt wybijał energicznym stuknięciem obcasa. Nie udało mu się dokończyć gwizdania, gdyż stopa przebiła na wylot podłogę i gdyby kontynuował, ryzykował urwaniem skrzyni biegów, z której dwa biegi już i tak wypadły na ziemię w chwili przywalenia w drzewo.

W Montrichard zakupili chleb, ruszyli na Le Iiege i samochód zatrzymał się dokładnie na skrzyżowaniu dróg N-764 i D-10.

Obudziła się Józefina.

— Co jest? — zapytała.

— Nic — odrzekł Major. — Kupiliśmy chleb, więc stajemy, by go zjeść.

Był zaniepokojony. Na skrzyżowanie można zajechać z czterech stron i z tyłuż być

widzianym.

Wysiedli i przycupnęli na skraju drogi. Jakaś biała kura, schowana w rowie, nabrała śmiałości i wystawiła ponad poziom jezdni łebek zwieńczony grzebykiem zrobionym „na trwałą”. Major znieruchomiał dysząc.

Złapał bochenek, dwukilowiec sporego formatu, odwracając się uniósł go w górę udając, iż spogląda przez niego na niebo i nagle spuścił chleb na kurę.

Na jego nieszczęście niedaleko od tego miejsca rozciągała się ferma Da Rui, znanego bramkarza, zaś kura pochodziła właśnie z niej: nauka nie poszła w las. Zgrabnie przyjęła chleb na główkę, odbiła go na pięć metrów i podrałowawszy jak szalona dopadła bochenek zanim dotknął ziemi.

Znikła w oddali, w chmurze pyłu, unosząc chleb pod skrzydłem.

Pała wstał i puścił się za nią.

— Jasiu! — krzyknął Major. — Daj spokój, nic nie poradzisz. Jeszcze zwrócisz uwagę jakiegoś żandarma.

— A to łajdaczka! — dyszał Jaś pędząc dalej.

— Zostaw ją! — ryknął Major i Jaś powrócił rżąc głośno. — To bez znaczenia — wyjaśnił Major — i tak zjadłem bułeczkę w piekarni.

— To mi dopiero pociecha! — zawołał wściekły Pała.

— A poza tym teraz, kiedy wsadziła go pod skrzydło, na pewno śmierdzi drobiem — powiedział Major z obrzydzeniem.

— Jak to miło z twojej strony — podsumował Jaś. — Może pojedźmy i kupmy drugi chleb, a ciebie na przyszłość proszę, połuj na kury czymś, czego się nie jada.

— Chętnie to dla ciebie zrobię — odparł Major. — Zawczasu przygotuję klucz francuski. Rzućmy okiem, co też dolega samochodowi.

— To nie zatrzymałeś go specjalnie? — zapytała zadziwiona Józefina.

— Eee... Nie — powiedział Major.

## VIII

Major wziął swój detektor awarii, przerobiony stetoskop i wśliznął się pod samochód. Obudził się dwie godziny później dobrze wypoczęty.

Pała i Józefina raczyli się niedojrzałymi jabłkami z sąsiedniego pola.

Major wziął kauczukową rurkę i spuścił do rowu trzy czwarte pozostałej benzyny, aby odciążyć przód samochodu. Potem pod lewą podłużnicę wsunął lewar, ustawił Renault na wysokości czterdzieści centymetrów od ziemi i podniósł maskę.

Przystawił słuchawkę stetoskopu do silnika i stwierdził, że awaria nastąpiła nie tam. Wentylator był w porządku, chłodnica grzała, czyli wszystko grało. Został mu do sprawdzenia filtr oleju i magneto.

Zamienił magneto na filtr oleju i zrobił próbę. Nie działało.

Ponownie włożył każdą rzecz na swoje miejsce i zrobił próbę. Działało.

— Dobra — stwierdził Major. — To magneto. Tego się spodziewałem. Trzeba znaleźć jakiś warsztat.

Głośnymi okrzykami przywołał Pałę i Józefinę, żeby popchnęły samochód. Zapomniał zabrać lewar, więc kiedy zaczęli się natęzać, wehikuł zakotyssał się i prawe przednie koło spadło prosto na nogę Pały, a opona strzeliła.

— Kretynie! — zawołał Major, ucinając wszelkie skargi Pały. — Przebiłeś ją! Teraz reperuj.

— W gruncie rzeczy — zauważył nieco później — pchanie tego samochodu to idiotyzm. Józefina pójdzie po fachowca.

Ruszyła drogą, a Major rozsiadł się wygodnie w cieniu na sjeście. Wecinał drugą bułeczkę podwędzoną w piekarni.

— Przynieś chleba, jeśli jesteście głodni! — krzyknął do Józefiny znikającej za zakrętem drogi.

## IX



Major, dokończywszy bułeczkę, odszedł kawałek w oczekiwaniu na Józefinę. Nagle dostrzegł na horyzoncie dwie niebieskie czapki zmierzające w jego stronę.

Popędził, a raczej poleciał — z profilu można było uznać, że ma pięć nóg — i dopadł do samochodu. Pała, oparty o drzewo, patrzył gdzieś tam podśpiewując.

— Do roboty! — zarządził Major. — Zrąb to drzewo. Masz tu klucz francuski.

Pała starannie zapiął swoje gdzieś tam i odruchowo usłuchał.

Zrąbawszy drzewo zaczął je ciąć na polana zgodnie ze wskazówkami Majora.

Liście ukryli w jamie, a samochód przekształcili w mieleż do wypalania węgla drzewnego, który uszczelnili przy pomocy ziemi z jamy. Na samym czubku Pała położył żarzący się węgielek z Seraju, z którego wydobywał się pachnący dym.

Major poczercił węglem twarz swoją i Pały i zmiął na sobie ubranie.

Pora była najwyższa, bo nadchodzili żandarmi. Major drżał.

— Jak tam? — zapytał grubszy.

— Pracuje się? — dodał drugi.

— Ano! — odrzekł Major z węglarskim akcentem.

— Ładnie pachnie to wasze drewno! — powiedział grubszy.

— Co to takiego? — zapytał drugi. — Pachnie kurwą — dodał z porozumiewawczym uśmiechem.

— To sandałowiec i kamforowiec — wyjaśnił Pała.

— Dobrze na trypra? — rzucił grubszy.

— Ha, ha! — zaśmiał się drugi.

— Ha, ha! — zaśmiali się podniesieni na duchu Pała i Major.

— Trzeba dać znać Przedsiębiorstwu Dróg i Mostów, żeby zrobiło objazd — stwierdził pierwszy żandarm — bo samochody na pewno wam przeszkadzają.

— Tak, trzeba to zrobić — powiedział drugi. — Samochody na pewno wam przeszkadzają.

— Z góry dziękujemy! — zawołał Major.

— Do widzenia! — odkrzyknęli dwaj żandarmi odchodząc.

Pała i Major rzucili im dźwięczne „do widzenia” i gdy tylko znaleźli się sami zabrali się do dzieła zniszczenia niby-mieleża.

Spotkała ich niemiła niespodzianka, bo stwierdzili, że w środku nie ma samochodu.

— Jak to się stało? — zapytał Pała.

— Pojęcia nie mam! — zawołał Major. — To mnie w pewnym sensie przerasta.

— Jesteś pewien, że to Renault? — zapytał Pała.

— Tak — powiedział Major. — Też już o tym myślałem. Gdyby to był Ford, można by zrozumieć. Ale to jest na pewno Renault.

— Ale rocznik 1927?

— Owszem! — przyznał Major.

— To wszystko wyjaśnia — powiedział Pała. — Spójrz.

Odwrócili się i spostrzegli Renault skubiące trawkę pod jabłonką.

— Jak to auto tam dotarło? — zapytał Major.

— Wydrążyło tunel. Samochód mojego ojca za każdym razem gdy go przysypywano ziemią zachowywał się podobnie.

— Czy twój ojciec często to robił? — zapytał Major.

— Och! Od czasu do czasu... Prawdę mówiąc, nie za często.

— Aha! — rzucił Major podejrzliwie.

— To był Ford — wyjaśnił Pała.

Zostawili samochód i zabrali się do sprzątnięcia drogi.

Już prawie kończyli, gdy Pała ujrzał jak Major gdzieś się wpatrując rozplaszcza się w trawie, dając mu znaki, by był cicho.

— Kura! — szepnął.

Nagle rozkurczył się gwałtownie i jak długi padł do rowu pełnego wody, prosto na kurę. Ta

zanurkowała, zrobiła kilka ruchów w stylu klasycznym i umknęła gdacząc bez końca. Da Rui uczył je również pływania pod wodą.

Dokładnie w tym momencie pojawił się mechanik.

Major otrząsnął się, podał mu mokrą rękę i powiedział:

— Jestem Major. A pan nie jest chyba żandarmem?

— Bardzo mi miło — powiedział tamten. — To magneto?

— Skąd pan wie? — zapytał Major.

— To jedyna część zapasowa, której nie mam — rzekł mechanik. — Stąd wiem.

— Nie — powiedział Major — to filtr oleju.

— W takim razie będę mógł wstawić panu nowe magneto — powiedział mechanik. — Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą trzy. Ha, ha! Zrobiłem pana na szaro, co?

— Biorę je — rzekł Major. — Dawaj pan.

— Ale dwa nie działają...

— Nie szkodzi — uciął Major.

— A trzecie jest połamane...

— Tym lepiej! — zawołał Major. — Lecz w tych warunkach zapłacę panu...

— Piętnaście setek! — rzekł mechanik. — Przy montażu trzeba...

— Wiem! — powiedział Major. — Możesz mu zapłacić, Józefino?

Uczyniła to. Zostało jej tysiąc franków.

— Dziękuję! — powiedział Major.

I odwrócił się plecami do mężczyzny, by udać się po samochód. Przyprowadził go i otworzył maskę.

Magneto było pełne trawy. Opróżnił je czubkiem noża.

— Odwieziecie mnie? — zapytał mechanik.

— Chętnie! — zawołał Major. — Należy się tysiąc franków, płatne z góry.

— To niedrogo — rzekł mechanik. — Proszę bardzo! Major bez słowa schował pieniądze do kieszeni.

— Wsiadaj pan! — rzekł.

Wsiedli wszyscy i motor wystartował od pierwszego kopnięcia. Trzeba było pójść go poszukać i wstawić na miejsce, i tym razem Major nie zapomniał zamknąć maski.

Dojechawszy do warsztatu mechanika samochód stanął i ani drgnął.

— To na pewno magneto — powiedział mechanik. — Wsadzimy któreś z tych moich.

Dokonał reperacji.

— Ile jestem panu winien? — zapytał Major.

— Och, proszę!... Nie ma o czym mówić!... Stał tuż przed samochodem.

Major wcisnął sprzęgło, przejechał go i ruszyli w dalszą drogę.

Nadal bocznymi drogami dojechali w rejon Poitiers, Angouleme, Chatellereault i pobłąkali się trochę po okolicach Bordeaux. Strach przed żandarmami ściągał w dół wdzięczne rysy Majora, a jego humor darł się na strzępy.

W Montmoreau przestraszyli się blokady policyjnej. Dzięki teleskopowi Major uniknął jej o włos i skręcił na N-709. Wylądowali w Riberac bez grama benzyny.

— Zostało ci tysiąc franków? — zapytał Major Józefinę.

— Tak! — powiedziała.

— Dawaj.

Major kupił dziesięć litrów benzyny, a za tysiąc franków odzyskanych od mechanika zafundował sobie solidną wyżerkę.

Z RibeYac do Chalais droga była krótka. Przejechawszy przez Martron i Montlieu dotarli do N-10 i pojechali do Cavignac, gdzie Jaś Pała miał kuzyna.

## XI

*Zaszyci w stogu siana Major, Pała i Józefina czekali.*

Kuzyn Pały miał im bowiem powierzyć małą baryłkę dla brata w Biarritz i właśnie tłoczono

wino.

Major żuł żdźbło słomy rozmyślając o bliskim końcu podróży. Pała obmacywał Józefinę. A Józefina pozwalała się obmacywać.

Major usiłował przeprowadzić remanent swojej kolekcji magneto, gdyż parę kilo cukru Pały przehandlował za kilka sztuk tych urządzeń w Aubeterre, Martron i Montlieu, a teraz gubił się w ułamkach dziesiętnych.

Nagle zaszył się jeszcze głębiej w stóg ujrzawszy czapkę z wygotowanej skóry, lecz był to tylko listonosz. Wygrzebał się z dwiema myszami w kieszeniach i głową pełną żdźbeł słomy. W gruncie rzeczy, samochodowi zamkniętemu w stajni kuzyna nic nie groziło ze strony żandarmów, lecz podróż ta wyzwalała nieposkromione odruchy.

Major wielce sobie cenił spokojny żywot, jaki wiedli u kuzyna. Rano jadało się selery, wieczorem kompot, a w ciągu dnia różne pokarmy. Prócz tego spało się. Pała obmacywał Józefinę, a Józefina pozwalała się obmacywać.

Na takiej diecie upłynęły im trzy dni, aż wreszcie oznajmiono, że sikacz jest gotów. Pała był już trochę zmęczony. Tymczasem zaś morale Majora zwyżkowało i ledwie co przypominał sobie o istnieniu jakiejś rodziny Bisonów, która w Saint-Jean-de-Luz zapewne spała pod gołym niebem czekając na przyjazd Majora z kluczami od mieszkania.

Major zrobił miejsce w kufrze z tyłu samochodu i wygodnie ułożył tam baryłkę z winem.

Każdy pożegnał się z kuzynem Pały i Renault ruszyło dzielnie na Saint-Andre-de-Cubzac, skręciło w lewo, w stronę Libourne, po czym zagłębiło się w labirynt małych drózek omijających Branne, Targon i Langoiran, by dotrzeć do Hostens.

Dokładnie tydzień upłynął od chwili wyjazdu z ulicy Lwie Serce. W Saint-Jean-de-Luz rodzina Bisona mieszkająca od pięciu dni w cudem znalezionym pokoju wyobrażała sobie z radością Majora za grubymi kratami jakiegoś prowincjonalnego więzienia.

Tymczasem Major wyobrazivszy sobie ten ostatni widok, przycisnął pedał gazu do dechy, Renault stanęło dęba, a magneto eksplodowało.

Warsztat naprawczy znajdował się sto metrów dalej.

— Mam całkiem nowe magneto — powiedział mechanik. — Zaraz wam to naprawię! Należy się trzy tysiące franków — oznajmił.

Wymiana zajęła mu trzy minuty.

— A nie wolałby pan wina? — zapytał Major.

— Dziękuję! Piję tylko koniak — odrzekł mechanik.

— Niech pan posłucha — powiedział Major — jestem uczciwym człowiekiem. Zostawię panu mój dowód osobisty i karty zaopatrzeniowe pod zastaw, i prześlę panu pieniądze z Saint-Jean-de-Luz. Nie mam ich więcej przy sobie. Wieśniactwo mi je zwędziło!

Mechanik zauroczony pięknymi manierami Majora przystał na takie rozwiązanie.

— Czy nie ma pan przypadkiem kropli benzyny do mojej zapalniczki? — zapytał Major.

— Proszę, niech się pan obsłuży z pompy — powiedział mechanik.

I wszedł do budynku, żeby uporządkować papiery Majora.

Ten wziął tylko dwadzieścia pięć litrów, które mu były potrzebne i doprowadził wszystko do porządku.

Podniósł wzrok... Nieco dalej, z tyłu, dwaj policjanci na rowerach.

Zbierały się czarne chmury.

— Wsiadajcie szybko! — nakazał.

Silnik zaklekotał, Major ruszył powoli i popędził przez pola, prosto na Dax.

W lusterku żandarmi byli już tylko małym punkcikiem, lecz pomimo wysiłków Majora punkt ten nie chciał zniknąć. Pojawiła się górką. Samochód wpadł na nią jak burza. Lało jak z cebra.

Błyskawice zasmarowywały niebo swymi lepkiemi błyskami.

Górką uwydatniała się coraz bardziej i stała się prawdziwą górą.

— Trzeba zrzucić balast! — powiedział Pała.

— Nigdy! — odparł Major. — Wjedziemy.

Lecz sprzęgło ślizgało się i spod podłogi dochodził miły zapach płonącego oleju.

Na nieszczęście Major dostrzegł kurę.

Natychmiast zahamował. Samochód wykonał salto i wylądował prosto na głowę nieszczęsnego drobiu, który padł na miejscu. Auto stanęło. Major triumfował. Lecz musiał w ramach zapłaty dać czekającemu na to wieśniakowi, który ukrył się w jakiejś dziurze *ad hoc* — jak by to powiedział Jules Rornains — ostatnie trzy kilo cukru Pały.

Nie zabrał kury nie nadającej się do użytku (kurczyła się wskutek deszczu), ale wydobył z siebie kilka okrzyków wściekłości.

Lecz nie mógł ponownie ruszyć z miejsca.

Sprzęgło wyło z bólu, a silnik był bliski rozdarcia swoich cylindrów. Machanie kapeluszy było tak silne, że Renault oderwało się od ziemi z warkotem i poleciało powąchać kwitnącą magnolię. Lecz nie ruszyło się do przodu ani o krok.

Punkcik w lusterku powiększał się z każdą chwilą.

Major przypasał się rzemieniem do kierownicy.

— Balast! — ryknął.

Pała wyrzucił za burtę dwa egzemplarze magneto.

Samochód zadrżał, lecz nie ruszył.

— Jeszcze! — zawył Major zrozpaczonym głosem.

Wtedy Pała wyrzucił na zewnątrz, jedno po drugim, siedem sztuk magneto. Samochód wykonał straszny skok do przodu i w huku deszczu, gradu i silnika jednym ciągiem pokonał wzgórze.

Żandarmi zniknęli. Major otarł czoło i zachował dystans. Dax i Saint-Vincent-de-Tyrosse szybko mignęły, jedno po drugim.

W Bayonne już z daleka można było dostrzec blokadę policyjną. Przejeżdżając Major zablokował klakson i uczynił znak Czerwonego Krzyża. Żandarmi nawet nie dostrzegli, że zrobił to na wspak, jak przystało na wychowanka rosyjskiej niańki. Lecz z tyłu, dla stworzenia stosownej atmosfery, Pała rozebrał Józefinę i owinął jej głowę ubraniem jak bandażem. Była dziewięta wieczór. Żandarmi dali znak do odjazdu.

Major przeskoczył przez blokadę i zemdłał, po czym odzyskał przytomność zostawiwszy zderzak na słupku kilometrowym.

La Negresse...

Guetary...

Saint-Jean-de-Luz...

Mieszkanie babki, ulica Mazarin 5...

Była noc.

Major zostawił samochód pod drzwiami i sforsował je. Położyli się spać wyczerpani, nawet nie dostrzegłszy nieobecności Bisonów. Ci zaś, prawdę mówiąc, cofnąwszy się przed koniecznością wyłamania drzwi, co musieliby uczynić chcąc tam zamieszkać, w rewanżu przygotowywali Majorowi gorące przyjęcie w paskudnej kuchni—o—piętrowych—łóżkach, którą zgodzono im się wynająć za jedyne tysiąc franków dziennie.

O świcie Major otworzył oczy.

Przeciągnął się i włożył szlafrok.

W drugim pokoju Pała i Józefina zaczęły odklejać się od siebie, polewając się ciepłą wodą.

Major podszedł do okna i otworzył je.

Przed drzwiami stało sześciu policjantów. Oglądali samochód.

Wówczas Major połknął solidną ilość nitrocelulozy i całe szczęście, że nie wybuchła, bo kiedy już ją całkiem strawił, uznał za zupełnie normalną obecność policjantów pod komisariatem, na ulicy Mazarin numer 6.

Zaś samochód został mu skonfiskowany w Biarritz, w tydzień później, w momencie gdy zaczął nawiązywać przyjaźń z pewnym komisarzem policji, notorycznym przemytnikiem, którego sumienie obciążone było zbrodnią popełnioną na stu dziewięciu celnikach

hiszpańskich.

## Złote serce

Aulne skradał się pod ścianami jak kot, tak że aż wszystkie myszy uciekały i co cztery kroki oglądał się podejrzliwie za siebie. Właśnie skradł złote serce ojca Milu-sia; oczywiście był zmuszony lekko wypatroszyć pocziwca, w szczególności rozplatać mu klatkę piersiową przy pomocy sierpa, ale kiedy w grę wchodzi złote serce nie należy się wahać przy doborze środków.

Zrobiwszy trzysta metrów ostentacyjnie ściągnął swą oprychówkę, rzucił ją do rynsztoka, a na jej miejsce włożył miękki kapelusz porządnego człowieka. Jego zachowanie stało się pewniejsze; niemniej jednak złote serce ojca Milusia bardzo mu wadziło, bo całkiem *jeszcze* ciepłe biło nieprzyjemnie w kieszeni. Poza tym chciał mu się przypatrzeć bez pośpiechu, gdyż było to serce, którego widok mógł człowieka doprowadzić do stanu nieużywalności.

Kabel dalej, skorzystawszy ze ścieku o wymiarach większych niż poprzedni, Aulne pozbył się pałki i sierpa. Oba narzędzia były uwalane sklejonymi włosami i krwią, a ponieważ Aulne wszystko robił starannie, były również, bez najmniejszego wątpienia, pokryte całą masą odcisków palców. Zatrzymał ubranie powalane lepka krwią, bo w końcu przechodnie nie wymagają od mordercy, by się ubierał jak wszyscy — trzeba przestrzegać kodeksu środowiskowego.

Na postoju taksówek wybrał jedną, dobrze widoczną i rzucającą się w oczy, starego Bernazizi model 1923, z oparciami wyplatany ze sztucznej trzciny, ze spiczastym tyłem, jednookim kierownicą i na wpół roztrzaskanym tylnym zderzakiem. Malinowo-żółty kolor składanego dachu z pasiastej satyny stanowił w tej całości niezapomniany akcent. Aulne wsiadł.

— Dokąd mam jechać, burżuju? — zapytał szofer, sądząc po akcencie ukraiński Rosjanin.

— Objedź dookoła tę grupę domów... — powiedział Aulne.

— Ile razy?

— Tyle, ile trzeba, żeby cię namierzyli gliniarze.

— Hm, hm!... — zadumał się taksjusz w dosłyszalny sposób. — Bo... tego... no... skoro żadną miarą nie uda mi się przekroczyć szybkości mam jechać lewą stroną? Co?

— No — powiedział Aulne.

Złożył dach i usiadł możliwie jak najwyżej, żeby było widać krew na jego odzieży; to w połączeniu z kapeluszem porządnego człowieka dowodziło, że ma coś do ukrycia.

Zrobili jedenaście okrążeń i pojawił się jeden z kuców myśliwskich na policyjnych numerach. Kuc był pomalowany na szaro, a lekki, wiklinowy powozik, który ciągnął, oznaczony był herbem miasta. Kuc obwąchał samochód i *zarżał*.

— Dobra — powiedział Aulne — ruszają za nami w pościg; zjedź na prawą, nie możemy ryzykować przejechania jakiegoś dzieciaka.

Aby kuc mógł ich ścigać nie przemęczając się, szofer ograniczył prędkość do minimum. Niewzruszony Aulne nadal podawał mu kierunek — zbliżyli się do dzielnicy wysokich domów.

Drugi kuc, także pomalowany na szaro, dołączył do pierwszego. Ten powozik, jak i poprzedni, zawierał jednego gliniarza w stroju wyjściowym. Obaj gliniarze porozumiewali się między sobą szepcząc i pokazując na Aulne'a palcem, podczas gdy kuce truchtały obok siebie jednakowym krokiem, zadzierając kopyta i kręcąc łbami jak małe gołąbki.

Dostrzegłszy budynek o korzystnym wyglądzie, Aulne kazał szoferowi zatrzymać się i wyskoczył lekko na chodnik, przelatując ponad drzwiczkami taksówki, aby gliniarze

wyraźnie mogli dostrzec krew na jego ubraniu.

Później wpadł do budynku i dotarł do kuchennych schodów.

Nie śpiesząc się wszedł na ostatnie piętro. Były tam mieszkania pokojówek. Korytarz wyłożony sześciokątnymi płytkami z wypalanej gliny zakłócał mu widok. Były dwie drogi — w prawo i w lewo. Ta po lewej biegła w stronę wewnętrznego podwórka, między łazienką a łotrem klozetem. Ruszył nią. Nagle rozdziawił się przed nim dość wysoko umieszczony lufcik. Poniżej, niewzruszony jak ciało niebieskie, tkwił stołek. Aulne usłyszał dzwięcące na schodach kroki gliniarzy. Żwawo wdrapał się na dach.

Tam westchnął głęboko, by nabrać powietrza przed nieuniknioną ucieczką. Powietrze, którego dużą ilość połknął, miało być mu pomocne przy schodzeniu.

Pogalopował po łagodnym stoku szczytu domu w stylu mansardowym. Na krawędzi dachu zatrzymał się i odwrócił plecami do otchłani, po czym opuścił się i pomógł sobie rękami, by obunóż wylądować na rynnie. Ruszył po prawie pionowym, cynkowym zboczcu. Brukowane podwóreczko w dole wydawało się maleńkie ze swoimi pięcioma pojemnikami na śmieci, starą miotłą podobną do pędzelka i skrzynką na odpadki.

Trzeba było spuścić się po murze i przejść do jednej z łazienek sąsiedniego budynku. W tym celu wykorzystywało się wbite w ścianę klamry, potem należało dwiema rękami ucześcić się okna i wykonać stójkę. Zawód mordercy to nie sielanka. Aulne ruszył w drogę po zardzewiałych klamrach.

Na górze gliniarze narobili hałasu i wałąc butami latali w kółko po dachu, by wykonać plan nagłośnienia pościgu opracowany przez prefekturę.

## II

Drzwi były zamknięte, gdyż rodzice Łasucha dopiero co wyszli, a Łasuch pilnował mieszkania. W wieku sześciu lat człowiek nie ma czasu nudzić się w mieszkaniu, gdzie można znaleźć mnóstwo szkła do tłuczenia, firanek do podpalenia, dywanów do umazania atramentem i ścian, które można pokryć odciskami palców wszelkich odcieni, przy interesującym użyciu kolorów zwanych w systemie specjalisty od daktyloskopii, Bertillona, bezpiecznymi. Gdzie na dokładkę jest łazienka, krany i inne wypuszczające wodę przyrządy... a także brzytwa tatusia o pięknym, prostym ostrzu do strugania patyków.

Usłyszawszy okrzyki dochodzące z podwórka, na które wychodziło okno łazienki, Łasuch rozchylił oba jego skrzydła. Tuż przed jego nosem dwie wielkie, męskie dłonie ucześciły się kamiennego parapetu; zainteresowanym oczom Łasucha ukazała się nabrzmiąta od wysiłku twarz Aulne'a.

Lecz Aulne przecenił swe gimnastyczne zalety i nie mógł się podciągnąć za jednym zamachem. Dłonie trzymały się mocno, więc opuścił się na rękach dla zaczerpnięcia tchu.

Łasuch łagodnie podniósł brzytwę, którą nadal trzymał w ręce i przesunął ostrą klingą po napiętych i zbielejących palcach mordercy. To były stanowczo zbyt wielkie dłonie.

Złote serce ojca Milusia ciągnęło Aulne'a ku ziemi ze wszystkich sił, a jego palce krwawiły. Ściągną, jedno po

drugim, trzasnęły jak struny gitary. Przy każdym pęknięciu rozbrzmiewał cichy ton. Na parapecie zostało dziesięć bezkrwistych paliczków. Z każdego spływała odrobina krwi. Ciało Aulne'a szurnęło po kamiennej ścianie, odbiło się od gzymsu na pierwszym piętrze i wpadło do starej skrzynki. Wystarczyło je tam zostawić. I tak następnego dnia śmieciarze musieli z nim zrobić porządek.

## Pusta droga

Pewien młodzieniec miał się ożenić. Kończył kursy w zakresie kamieniarstwa nagrobkowego i wszystkich innych. Pochodził z dobrej rodziny, jego ojciec kierował sekcją K w dziale Kotłów Płomienicowych, a jego matka ważyła sześćdziesiąt siedem kilo. Mieszkali pod numerem piętnastym na ulicy Obojga Braci, lecz niestety tapeta w jadalni nie była zmieniana od 1926 roku i przedstawiała pomarańczowe pomarańcze na tle w kolorze pruskiego błękitu, co w gruncie rzeczy jest obrzydliwe. W dzisiejszych czasach nie byłoby żadnego wzoru i to zgoła na całkiem innym kolorze, jaśniejszym na przykład. Na imię miał Fideliusz a jego ojciec Justus. Matka również posiadała imię.

Jak co wieczór wsiadł w metro, by się udać na wykłady, z kamieniem nagrobnym pod pachą i narzędziami w małej walizeczce. Z powodu kamienia wykupywał sobie kuszetkę, aby uniknąć uwag, niejednokrotnie kwaśnych, mogących uszkodzić gładką powierzchnię wapienia, jaki zabiera się do zwykłych wagonów, chcąc podróżować z dużym obciążeniem.

Na stacji Denfert-Rochereau, do tego samego przedziału wsiadł inny uczeń z tego kursu, z grupy zaawansowanej. Miał kamień nagrobny znacznie większych rozmiarów, a poza tym w kobiałce trzymał piękny krucyfiks z fioletowych pereł. Fideliusz pozdrowił go. Dyscyplina kursowa była niezwykle surowa, wszyscy winni byli nosić czarne garnitury i zmieniać bieliznę dwa razy w tygodniu. Musieli również wystrzegać się niestosownych zachowań, takich jak wychodzenie bez kapelusza, czy palenie na ulicy. Fideliusz zazdrościł tamtemu fioletowego krzyża, lecz czas posuwał się naprzód i za dwa miesiące on również miał przejść do wyższej klasy. Wtedy będzie miał dostęp do większych kamieni nagrobnych, do dwóch krzyży z pereł i jednego granitowego, którego nie wolno było zabierać jako pracy domowej. Materiał był oznaczony nazwiskiem kierownika kursu, a to ze względu na jego istotną cenę, lecz uczniowie mieli zezwolenie na obróbkę domową niektórych kombinacji estetycznych, aby całkowicie wykorzystać nauki pobrane w trakcie kursu. W pierwszej grupie studiowało się nagrobki dziecięce aż do trzynastego roku życia, później miało się prawo do młodzieży, w trzeciej wreszcie zajmowano się grobami dorosłych, najciekawszymi i najbardziej zróżnicowanymi. Chodziło oczywiście o studia teoretyczne: zdobyta wiedza pozwalała na projektowanie rozstawienia kamiennych elementów, natomiast określenie rozmiarów i sama realizacja materialna przypadła uczniom Grupy Specjalnej. Szkoła posiadała biuro pośrednictwa pracy i na ogół zestawiała parzyście uczniów, którzy pomyślnie przeszli egzaminy końcowe — jeden projektant i jeden realizator, dobrani zgodnie z ich wzajemnym powinowactwem i po serii testów opartych na metodach Paryskiego Towarzystwa Transportowców. Projektant studiował również zagadnienia handlowe związane z zawodem i stosunki z klientami, co usprawiedliwiała konieczność przestrzegania zasad perfekcyjności tak w ubiorze, jak w manierach.

Obaj uczniowie wysiedli jednocześnie na stacji Saint-Michel i ruszyli bulwarem. Siedziba Kursów za specjalną zgodą Opactwa w Cluny znalazła sobie miejsce w ruinach Term Juliusza Apostaty i nauczanie częściowo odbywało się w nocy, na świeżym powietrzu pośród ruin, tak by uczniowie mogli być wprowadzeni w stan uwrażliwienia na bodźce zewnętrzne, sprzyjające rozkwitowi współczesnej i wyrafinowanej estetyki pogrzebowej.

Kiedy się zbliżali do ruin rozbrzmiał dzwon, więc przyspieszyli kroku, bo czas był najwyższy.

## II

Koło północy w kursach następowała mniej więcej godzinna przerwa odpoczynkowa i uczniowie korzystali z tej chwili, by odetchnąć świeżym powietrzem ruin, a także zabawiali się odczytywaniem inskrypcji, jakie spotyka się na hebrajskich kamieniach nagrobnych, których Termy Juliańskie kryją znaczną ilość.

Było im również wolno, w czasie tych sześćdziesięciu minut odprężenia, pójść się czegoś

napić do baru prowadzonego przez Opatów z Cluny, Łazarza Weilla i Józefa Simonowicza, a znajdującego się w pobliskim muzeum. Rozmowy obu mężczyzn, obfitujące w informacje na temat sztuki rzeźbienia w marmurze i pełne oryginalnych spostrzeżeń wszelkiej natury, w najwyższym stopniu zachwyciły pilnego Fideliusza, którego myśl odrywała się od kamieni jedynie by zatrzymać się na moment na wdzięcznym obrazie: jego narzeczonej, Noemi.

Noemi, której ojciec był inspektorem, a matka jeszcze nieźle się trzymała, żyła sobie po prostu w mieszkaniu przy bulwarze Saint-Germain, dwunastopokojowym, na drugim piętrze. Miała dwie siostry w tym samym wieku co ona i trzech braci, z których jeden miał o rok więcej, w związku z czym nazywano go starszym.

Czasami Noemi wpadała do baru w Muzeum, by spędzić tam chwilę ze swoim narzeczonym pod ojcowskim okiem Józefa Simonowicza. Dwójka młodych ludzi wymieniała czułe zaklęcia, popijając *Grave's Ghost*, prawdziwe osiągnięcie Józefa. W czasie normalnym słuchacze kursu mieli prawo jedynie do czarnej kawy z kropelką srebra, lecz regulamin doznawał niekiedy drobnych uszczerbków, bez istotnych konsekwencji dla zdrowia moralnego uczniów — zawsze zachowywali oni pełną godność.

Tego wieczora Noemi nie przyszła na spotkanie z Fideliuszem. Umówił się on z Laurentem, starym kumplem z liceum, internistą w szpitalu Dzieciątka Jezus. Laurent miał często nocny dyżur i wymykał się ze służbówki, jeśli obowiązki nazbyt go nie pochłaniały.

Laurent pojawił się mniej więcej za dwadzieścia pierwsza. Spóźnił się. Dopiero co przyprowadzono do Dzieciątka Jezus pijaka, któremu jak zwykle towarzyszyło pięciu czy sześciu policjantów. Początkowo nie wiedziano, że chodziło o pijaka; jednak dobra wola agentów, którzy go ogłuszyli nie mogła być zakwestionowana, a ponieważ delikwent znajdował się w stanie śpiączki, trzeba było się obejść bez jego świadectwa.

— Krzycał: „Niech żyje wolność!” — powiedział jeden z żandarmów — i przeszedł przez jezdnię nie po pasach.

— No i daliśmy mu popalić — powiedział drugi żandarm. — Nie można na to pozwolić, by w dzielnicy studenckiej osobnicy w stanie upojenia alkoholowego dawali zły przykład młodzieży.

Zawstydzony facet zmarł *jeszcze* przed operacją, pod narkozą i dlatego Laurent się spóźnił. Szczęśliwym trafem jego kolega, Peter Gna, zajął się gościem i przejął dyżur.

— To kiedy się żenisz? — zapytał Laurent.

— W przyszłym tygodniu...

— A kiedy przeprowadzisz pochówek swego kawalerskiego stanu? To chyba zagadnienie, do którego powinieneś być nieźle przygotowany?

— O rany! — zawołał rozbawiony Fideliusz. — Sądzę, że zrobię to również w przyszłym tygodniu.

— Wiesz — powiedział Laurent — powinieneś się zacząć tym poważnie zajmować.

— Zajmuję się tym poważnie.

— Kogo zaprosisz?

— Ciebie, Piotra i Majora.

— Kto to jest Major?

— To przyjaciel Piotra. Piotrowi bardzo zależy na tym, bym go poznał.

— A cóż w nim takiego szczególnego?

— Zdaje się, że zwiedził całą kupę cmentarzy i może być przydatny w mojej karierze, a poza tym to bardzo zabawny facet.

— Niech będzie i Major — zgodził się Laurent. — A panienki?

— Och! — zawołał zaszokowany Fideliusz. — Żadnych panienek!... Przecież żenię się trzy dni później.

— To co to za pochówek?

— Pochówek to rzecz poważna — powiedział Fideliusz — a ja chcę móc dać mojej narzeczonej to, czego wymagam od niej.



— To znaczy doskonałego dziewictwa? — rzekł Laurent.  
— Przynajmniej niedawnego dziewictwa... — odparł skromnie Fideliusz.  
— Dobra — powiedział Laurent. — W takim razie będzie to wieczór męski.  
— Jasne — zapewnił Fideliusz. — W środę, o siódmej wieczorem u mnie.

Wyszli z baru, gdyż wybiła pierwsza. Laurent uściśnął dłoń przyjaciela i odchodząc pozdrowił Józefa. Fideliusz dołączył do swych towarzyszy w południowej krypcie, gdzie odbywał się kurs. Była to jednocześnie sala wystawowa projektów egzaminacyjnych. Rozpoczął się wykład o korzyściach płynących z ufarbowania na czarno żwiru, jaki rozsypuje się u stóp karłowatych krzewów stanowiących wyposażenie roślinne modelu numer dwadzieścia osiem, granitowego, wariant z krzyżem półwypukłym.

Fideliusz wyciągnął notes i usiadł na fantazyjnym bloku różowego marmuru.

### III

O czwartej Fideliusz wyszedł z kolegą między ruiny na półgodzinną przerwę.

Ujrzał gwiazdy, mniej więcej wszystkie, za wyjątkiem Betelgeuse, której nadmierne wypalenie w poprzednim miesiącu spowodowało okresowe wygaśnięcie. Fideliusz okręcił szyję szalikiem. Od strony bulwaru nadlatywał lekki wiatr, przechodził między prętami ogrodzenia, więc młodzieniec tak kombinował, by pozostać w strefie spokojnego powietrza, za prętami.

Podszedł do zakątka, gdzie leżały hebrajskie płyty nagrobne, których szczegóły pozwolono im studiować i usiadł na jednej z nich.

js Przed nim leżał na wpół zakopany fragment sklepienia, resztką kolumnady. Co ciekawe, w ogólnym zarysie przypominał ostrygę, doskonale cylindryczną, o jednej stronie płaskiej, a drugiej w kształcie półkuli. Fideliusz spróbował go odwrócić. Udało mu się z trudem. Pod spodem spały czule objęte dwa na wpół rozbudzone skórki, obok stonogi i trzech doskonale zakonserwowanych przysmaków śniadaniowych. Zjadł je jeden po drugim, po czym opuścił kamień na miejsce i dostrzegłszy w tym momencie jego frapujące podobieństwo do ostrygi, wyciągnął z kieszeni dłuto i przyklękawszy próbował go otworzyć.

Po kilku bezowocnych próbach udało mu się wsunąć czubek dłuta w poprzeczną szczelinę, na wpół zatkaną ziemią i mchem, i mocno na nie napał. Dłuto pękło. Wziął drugie. Zniechęcony kamień ustąpił. Młodzieniec odłożył pokrywkę obok siebie i zajrzał do środka. Na warstwie drobnego piasku leżała fotografia Noemi w ramce z rzeźbionego drewna, za szybką z lekko podbarwionego szkła, w kolorze róży. Różę wsadził do butonierki i podniósł portret, po czym położył go na piasku.

Noemi poruszyła wargami, więc stłukł szybkę, by usłyszeć jej słowa. Też jej powiedział jak bardzo ją kocha.

Wstawał dzień. Miał to być ostatni wykład. Jakiś ptak wyszedł z gniazda, potrząsnął każdym tworzącym je patyczkiem, otrzepał się, przeciągnął i poleciał, po czym wrócił ze śniadaniem, lecz Fideliusza już tam nie było.

Ptak zjadł wobec tego także jego część. Potem chorował przez cały dzień.

### IV

Noemi czytała w swoim pokoju. Właśnie przyniesiono jej śniadanie: kanapkę orzechową i langustę w majonezie. Dziewczyna oszczędzała wątrobę, a miała ją bardzo delikatną.

Książka opisywała żywot niezwykle świętej Elżbiety Węgierskiej, w ujęciu wiceksięcia de Montalembert, i Noemi bardzo płakała, bo doszła do chwili śmierci walecznego, młodego burgrabi, męża dzielnej Elżbiety. Noemi była w podniosłym nastroju i dlatego zamknęła książkę, wziąwszy w jej miejsce *Trzech panów w łódce*. Nagle pomyślała o rzeczach poważnych i przestała czytać. Wstała by poszukać stosownego do nastroju dzieła, bo na jej nocnym stoliczku nie było nic prócz Książki Telefonicznej.

Dla odprężenia umysłu wykonała kilka ćwiczeń z fińskiej gimnastyki, którą praktykuje się w bezruchu i w pozycji horyzontalnej, a polegającą na naprzemiennym napinaniu i rozluźnianiu niektórych roztropnie wybranych mięśni.

Wstała, ubrała się w sukienkę o wesołych barwach, weszła po trzech schodkach i spadła z wysokości pięćdziesięciu centymetrów do sąsiedniego pokoju, który znajdował się na tym samym poziomie. Kosztowało ją to lekkie skrucenie nogi, więc udała się do łazienki, by sobie obwiązać kostkę. Usiadła przed lustrem i przyglądała ciemnorude włosy. Uśmiechnęła się do swego odbicia, lecz ból w kostce przeszkodził mu w odwdzięczeniu się podobnym uśmiechem i Noemi, wzruszona, zaczęła płakać; odbicie dzielnie się uśmiechnęło chcąc jej przywrócić spokój i wszystko wróciło do porządku, który i tak był całkowity.

## V

Fideliusz zaczął przygotowywać przyjęcie dla przyjaciół.

Rodzice mieli być nieobecni — ich obecność daje się czasem pogodzić z wolnością, lecz to akurat był ten gatunek rodziców, co to sami postanawiają iść do kina, by zostawić młodzieży pełną swobodę. Fideliusz nie szykował żadnej orgii, niemniej jednak wstyd powoduje niejakie ograniczenia werbalne w wyrażaniu uczuć wobec osób starszych, on zaś tymczasem chciał przynajmniej odmalować przyjaciołom rozmiary swej szczęśliwości przy pomocy orgiastycznej frazeologii, na myśl o której drżał zawczasu.

Jadalnia — pomieszczenie długie i wysokie — doskonale nadawała się do spożywania posiłków. Zdjęcia luksusowych grobowców i makiety projektów wykonanych przez Fideliusza rozweselały ściany szarą nutą starych kamieni. Mebli było niewiele: długi, niski kredens z zatroskanej brzozy podtrzymywał dwa srebrne świeczniki przyozdobione czerwonymi świecami. Stół z takiego samego drewna, krzesła z brzozy nieco ciemniejszej, prawie czarnej, jaką spotyka się w Afryce, gdzie nazywano ją imieniem, które w przekładzie literackim brzmiałoby: hebanowiec, wyściełane czerwonym safianem. Fideliusz miał zamiar usiąść plecami do okien.

Jedynym problemem była tapeta z pomarańczowymi pomarańczami na tle w kolorze pruskiego błękitu, więc Fideliusz złapał za telefon i zadzwonił, żeby przyjechało ją zmienić. Po namyśle zdecydował, że gładka, beżowa tapeta, ewentualnie o barwie granitu będzie niezła, więc tapeciarsz położył na przemian pasy w kolorze kości słoniowej i białokremowe, z jaskrawoczerwonymi szlaczkami na krawędziach, dobranymi do safianowych obić krzeseł i zamienił fotografie grobowców na portret Noemi, który Fideliusz wyciągnął z chytrym uśmiechem ze swego składanego biurka służącego do klejenia modeli.

## VI

Rankiem Noemi leniuchowała w łóżku aż do późnej godziny. Jednak nie była całkiem bierna, wzięła się za swoją robótkę. W koszyczku z lakierowanej wikliny miała trzy duże kłębki białej angory i jeden zwykłej, czerwonej wełny. Kończyła górę przodu: jeszcze czternaście rzędów. Cały przód był z białej angory i już było widać poziomy, czerwony pasek z dwóch rzędów, potem znów dwa białe rzędy, a na kolejnych dziesięciu miała zamiar wydzierać artystycznie imię swego narzeczonego; tym sposobem ukazałoby się ono w czerwonej postaci na tle z białej angory, której delikatne włoski na wpół by je skryły i trzymały w ciepłe. Dla uproszczenia miała zamiar je napisać runami, tak więc wystarczało przez dziesięć rzędów spuszczać osiem oczek białych po jednej i dwa oczka czerwone po drugiej stronie. Miał to być bardzo piękny sweter.

Po południu wybierała się do kina z przyjaciółką, żeby zobaczyć ostatni film Manfreda Carote'a i występującą w nim dziewczynę, ubraną w taki sam pulower, jak ten, który właśnie robiła.

Umówiła się w Zielonym Ptaku o pół do piątej, tak żeby nie spóźnić się na początek filmu, a przyjść po kronice, którą widziała już dziewiętnaście razy w tym tygodniu.

## VII

Tego samego ranka Piotr, jeden z gości zaproszonych przez Fideliusza, ogolił się starannie i nim udał się do pracy włożył czystą koszulę; był inżynierem w pewnym śmiałym przedsiębiorstwie. Czekał na telefon od Majora, któremu miał podać adres Fideliusza i, gdyby zaistniała taka potrzeba, spotkać się z nim przed kolacją, by udać się tam w jego

towarzystwie.

Tymczasem Major o godzinie czternastej wysiadł ze swego specjalnego samolotu, zostawił walizkę w przechowalni i by wynagrodzić sobie tę stratę wziął walizkę jednego z sąsiadów z kolejki, głośnym okrzykiem wezwał taksówkę, powiedział kierowcy, że ma czarną kropkę na nosie, po czym wybrał metro i to tak dokładnie, że nic nie zostało dla innych, wreszcie o godzinie piętnastej wysiadł na stosownej stacji, pieszo udał się do Złotej Czarki i znalazł się u wejścia do swej willi przy ulicy Lwie Serce.

Wyszedł stamtąd po półgodzinie pozostawiwszy służbie trud zaprowadzenia sprawiedliwości pośród przeraźliwego bałaganu zrobionego w tym rekordowym czasie. Zmienił garnitur i kręcił młynka elegancką laseczką z jasnoperłowej macicy, zaś jego szklane oko lśniło jak latarnia, oślepiając raz na zawsze te nieliczne osoby, które zaszczycił spojrzeniem.

Wszedł do kawiarni, drugą stroną laski odrąbał głowę jakiemuś Bogu ducha winnemu konsumentowi, uśmierzył protesty kelnera soczystym napiwkami, wcisnąwszy mu go do ust jak knebel i zamknął się na klucz w kabinie telefonicznej, której podłoga ustąpiła pod jego ciężarem w wyniku wadliwego działania tarczy.

Major znalazł się tym sposobem w piwnicy kawiarni, pobrał przy tej okazji kilka starannie wybranych butelek, rozlokował je w różnych kieszeniach, wszedł po schodach i zachowując się całkiem naturalnie ruszył na poszukiwanie jakiegoś solidniejszego lokalu.

Znalazł go, wsunął żeton w szczelinę i zadzwonił do Piotra.

## VIII

Laurent, któremu asystował Peter Gna, operował pterodaktyla jajnika, czwartego od początku dnia. Właśnie miał przystąpić do określenia miejsca. Pacjent spoczywał na krzyżaku z niklowanych rurek, było to coś w rodzaju koziołka w kształcie litery A; jego krzyż bujał się na jej czubku, zaś głowa i nogi zwisały po obu stronach A. Brzuch był wypięty jak bęben. Ból jaki powodowała ta pozycja sprawiał, że pacjent zapominał o okrutnych uściskach pterodaktyla. Wielki biały reflektor przeszywał pole operacyjne ostrym światłem i pterodaktyl poruszał się niewyraźnie pod skórą. Światło go raziło.

— Evipan! — zawołał Laurent.

Peter Gna przygotował strzykawkę, przemył przedramię chorego wacikiem unurzonym w spirytusie i wbił igłę w niebieskawą, napiętą żyłę, która pękła z cichym, wilgotnym odgłosem. Poszukał innego miejsca i nie mogąc go znaleźć gwałtownym ruchem wbił wygiętą igłę pod włochatą pachę. Srebrzysty płyn spłynął powoli pod naciskiem tłoczka, podczas gdy pod prawym okiem pacjenta powstała mała, stożkowata wypukłość.

— Niech pan policzy do dziesięciu — nakazał Laurent pacjentowi.

Chory urwał przy sześciu.

— Dziwne! — zawołał Peter Gna. — Na ogół nie zasypiają przed upływem dwudziestu sekund...

— Ja nie śpię — jęknął chory. — Nie umiem dalej liczyć.

I natychmiast zasnął na krzyżaku. Jego krzyż przestał być podtrzymywany przez specyficzne napięcie nerwowe, wynikające ze stanu czuwania, toteż złożył się nagle wpół przyjmując spiczasty kształt rurkowego rusztowania.

— Widzisz go? — zapytał Laurent cicho.

— Tak! — szepnął Peter Gna.

Pterodaktyl, poważnie podrażniony, usiłował umknąć przed blaskiem reflektora.

— Igła! — zażądał Laurent.

Peter podał mu ją. Była to gruba igła z błękitnej stali, wyposażona w niklowaną rękojeść.

Laurent wycelował starannie i wbił ostre narzędzie w ciemną masę, która przestała poruszać się pod skórą. Przytrzymał ją całym swym ciężarem. Po pewnej chwili zwolnił nacisk.

— Mamy go — powiedział. — Można operować. Pośpieszmy się, o siódmej mam spotkanie u jednego z kolegów.

## IX

Fideliusz przyjął Piotra i Majora w drzwiach, które właśnie otworzyła im służąca.

— Nie ma z wami Laurenta? — zapytał ściskając im dłonie.

— Miał przyjść sam — odrzekł Piotr. — Przedstawiam ci Majora.

— Bardzo mi miło — powiedział Fideliusz. — Poza tym wcale się nie spóźniliście. Umówiłem się z Laurentem na siódmą, a jest dopiero kwadrans po szóstej. Będziemy mogli pogadać.

— Bardzo miło z twojej strony, że pozwalasz nam się rozgościć — powiedział Major. — Moglibyśmy zaczekać pod drzwiami...

Fideliusz wziął to za dobry dowcip i prychnął śmiechem. Dwaj pozostali przyłączyli się i wszystko zakończyło się zgodnym napadem kaszlu.

— Przejdźmy do pokoju — zaproponował Fideliusz. Przeszli. Tapeta na ścianach przedstawiała zielone pomarańcze na fioletowym tle. Stały tam: mały barek, kozetka, stolik i skórzane fotele.

— Soku winogronowego? — zapytał Fideliusz.

— Dla mnie sfermentowany i przedestyłowany — uściślił Major. — Czasami nazywa się to *koniakiem*, a kiedy indziej *armaniakiem*, zależnie od regionu.

— Wiele podróżowałaś — stwierdził Fideliusz z podziwem.

— Owszem — odparł Major...

Dwaj pozostali siedzieli na tapczanie ze szklankami w dłoniach. Major siedział jak na tronie w fotelu wypchanym delikatnym puchem.

— ...widziałem oceany i morza, Nowy Świat i Stary, najpierw Nowy, bo go lubię, potem Stary w swoim czasie, tak jak się należy. Myszkowałem po kieszeniach mnóstwa mych ziomeków, szlifowałem bruki miast, które szczycą się, że bruków tam nie ma, dzwoniłem o asfalt metropolii złotymi paskami niedopałków, które rzucałem od niechcenia odziany w wełniane tkaniny produkcji zakładów odzieżowych w Roubaix, ciągle będąc świadomym cudów jakie miało być mi dane odkryć dnia następnego.

— Widziałeś cmentarze? — zapytał Fideliusz.

— Zapelniałem je! — odrzekł Major chłodno. — Mógłbym wam opisać rowy w czerwonej glinie na Wyspach Podwietrznych, gdzie tubylcy chowają swych zmarłych, owiniętych w całun z włókien woniejącej palmy, wieczorem, o wschodzie księżyca. Tahitanki z obnażonymi piersiami śpiewają melodyjne słowa Pieśni Przodków:

*Oari mena Oara meni Tatapi oya Tatapi ArhuuArhuu Oań Mena Tatapu...*

Są jeszcze dalsze słowa, których wam nie podam, gdyż jesteście chrześcijanami, jak mniemam. A czarownik wyspy zapala świecę z treściwego wosku, składając pokłon gwiazdzie nocy...

— A czy — zapytał Fideliusz — kładą na grobach kamienie?

— Całe tony kamieni — zapewnił Major.

— Rzeźbionych? — zapytał Fideliusz.

— Absolutnie rzeźbionych — rzekł Major.

— A jak rzeźbionych?

— W kształcie kamieni! — podsumował Major i zaraz zapytał: — A kiedy będzie kolacja?

— Hmm... — mruknął Fideliusz... — Może zaczekamy na Laurenta...

— Zadzwon do niego, niech się pośpieszy! — powiedział Major.

— Hmm... Tak... — rzekł Fideliusz. — Już idę. Wstał i poszedł do gabinetu ojca. Major skorzystał

z tego, by wypróbować różne napitki, jakie skrywał bar, a kiedy wrócił Fideliusz, usiadł ponownie.

— No i...

— Nie może przyjść natychmiast — wyjaśnił Fideliusz. — Właśnie mu przywieźli kobietę, która ma dwie śliwki pod oczami i naderwaną owłosioną część skóry. Własny mąż jej to zrobił...

— A nie mogła mu oddać? — zaciekawił się Major.

— Wiesz co powiedziała Laurentowi?... Powiedziała: „Nie mogłam przy dziecku... Mogłoby to mieć na niego zły wpływ...”

— Te kobiety z ludu są niekiedy zaiste cnotliwe!... — westchnął Major.

Złapała go czkawka, którą z wrodzonym tupetem złożył na karb swego szklanego oka.

— Tak — przyznał Fideliusz. — To pocziwie ze strony tej kobiety. Laurent sądzi, że skończy za jakiś kwadrans.

— A to i dobrze — rzekł Major. — Tak więc na Grenlandii...

## X

Noemi, z przyjaciółką pod ramię, wyszła z kina Dumny Frycz, gdzie Manfred Carote padł pod nieubłaganymi ciosami bandy o wiele starszych od niego okrutników. Oczy miała pełne łez i trochę bolała ją skręcona noga. Zmierzch zapadał szybko, a przesycone deszczem powietrze tworzyło halo wokół żarówek lamp elektrycznych. Jeździło sporo samochodów i ciężkich pojazdów o napędzie mechanicznym, przeznaczonych do transportu bezwładnych towarów.

## XI

— I... — zakończył Major — prócz tego, że martwi przechowują się w doskonałym stanie, należy zauważyć, że mróz polarny zamraża ich całkowicie, do tego stopnia, że stają się twardzi jak mięso wyciągnięte z lodówki, do którego jednak nie przedostaje się najmniejsza drobina lodu. Warn pozostawiam trud wyjaśnienia tej anomalii.

— Czy Eskimosi *rzeźbią* kawałki lodu, które kładą na groby? — zapytał Fideliusz.

— Nie — odrzekł Major — a to z bardzo prostej przyczyny, że te groby są wyrąbane: wycina się kawałki lodu, wsadza się tam klienta i dolewa wody, ale nie aż po brzegi.

— No proszę! A to dlaczego? — zapytał Fideliusz.

— Można — powiedział Major — wytłumaczyć to prawami fizyki: woda, którą nalewają, pochodzi z uprzednio wyciętej bryły lodu, a każdy wie, że lód topniejąc traci na objętości.

— Ale — upierał się Fideliusz — przecież potem znów zamarza.

— Owszem — odrzekł Major — lecz zapominasz o pingwinach...

— Ach! — zawołał Fideliusz niczego nie rozumiejąc.

— One stale są spragnione!... — powiedział Major. — Zresztą nie tylko one — dodał dyskretnie zaglądając do kieliszka.

Fideliusz napełnił kieliszek Majora, a ten ciągnął dalej:

— Idź no, Piotruchna, zadzwoń do Laurenta, na pewno już skończył...

Piotr zniknął w gabinecie, skąd dobiegło echo jego namawiań.

— Nie może przyjść... — powiedział.

— *Jeszcze tamta kobiecina?* — zdenerwował się Major.

— Nie, tym razem mąż. Ma złamane dwa zębra, zmiażdżony nos i pękniętą kość udową.

— Całe szczęście, że krępowała ją obecność dzieciaka — westchnął Major. Ale powiedz no

— ciągnął zwróciwszy się ku Fideliuszowi — jutro się żenisz?...

— Tak! — zawołał Fideliusz. — W merostwie...

— A jaka jest twoja narzeczona?...

— Piękna... — powiedział Fideliusz. — Policzki ma gładkie jak szlifowany porfir, oczy jak wielkie *czarne* perły, włosy ciemnorude upięte w kok i wygląda jakby była odcięta od reszty świata małym płotkiem z kutego żelaza.

— Sugestywne... — pochwalił Major, a dreszcz przebiegł mu po krzyżu.

## XII

Noemi była naprawdę ładna, nawet po tym jak ciężarówka chmajtnęła nią o chodnik. Jej głowa aż zadzwoniła, a zęby szczęknęły gwałtownie. Przyjaciółka zaczęła krzyczeć. Ambulans nie przyjechał natychmiast, a najbliższym szpitalem był szpital Dzieciątka Jezus.

Toteż zaniecono ją na noszach. Korytarzami przechodziły pielęgniarki, opróżniały wiadra pełne migdałków i ślepych kiszek, które asystenci chirurgów kładli pod drzwiami sal

operacyjnych. Dwie pielęgniarki zabawiały się wielkim balonem w czerwono-żółte paski napelnionym tlenem. *Leżąca* na noszach Noemi nadal miała piękne, czerwone i kształtne usta, ciemnorude włosy, prosty nos, lecz jej oczy były zamknięte.

### XIII

— Tym razem — powiedział Major — każ mu jednak sprawę załatwić szybko, bo inaczej wynoszę się.

— Dobrze — powiedział Fideliusz. — Przycisnę go. Wkurza nas tymi swoimi chorymi...

— ... Ale ja nie mogę — powiedział Laurent. — ... właśnie przywieziono mi dziewczynę potraconą przez ciężarówkę...

— Masz przyjechać tak czy inaczej — powiedział Fideliusz. — Niech się nią zajmie ktoś inny...

— Posłuchaj — powiedział Laurent — wkurza mnie to... A przy tym ona jest ładna...

— Wzbudzasz we mnie wstręt — powiedział Fideliusz. — Twoje słowa cię zdradzają. Proszę cię, wysil się trochę.

— Dobra — rzekł Laurent — lecz jeśli ten osioł Duval pokpi sprawę, to będzie to twoja wina.

— Do stołu!... Do stołu!... — ryczał Major.

### XIV

I oczywiście operacja się udała, afe nie dla Noemi, która zmarła, a ponieważ nie było co zrobić z jej ciałem, natychmiast zawiadomiono rodziców, żeby ją szybko zabrali do domu. Była już zawinięta w prześcieradło, jako że nieprzyjemnie jest patrzeć na wynik pracy, jakiej wymaga pęknięcie czaszki, ale oddano im jej włosy. Trzeba było je ściąć, bo były bardzo długie.

## Rak

Jacques Thejardin leżał w łóżku cierpiący. Złapał anginę płamistą grając w przeciągu na swej nieokrzesej fujarce. A to dlatego, że orkiestra kameralna, której był członkiem, zgadzała się występować w tak niekameralnych pomieszczeniach jak dworce, albowiem czasy były ciężkie; o ile muzykom udawało się przeżyć pomimo braku łaskowości z tej strony, o tyle stan ich zdrowia niejednokrotnie wiele na tym ucierpiał. Jacques Thejardin nie czuł się dobrze. Głowa wydłużała mu się w jednym kierunku, zaś mózg nie nadążał za tym ruchem, toteż w powstałą tym sposobem próżnię wdzierały się jakieś ciała obce, pasożytnicze myśli i nieco bardziej płynny, zalewający wszystko ból, w postaci ostrych kryształków, jak łupany kwas borny. Od czasu do czasu Jacques Thejardin kasłał, a ciała obce twardo stukwały w sklepienie jego czaszki, spływały gwałtownie po krzywiznie, jak fale w wannie, by zwalić się jedne na drugie z chrzęstem miazdżonych pasikoników. Tu i ówdzie rozpryskiwała się bańka i cienkie, białawe bryzgi, miękkie jak trzewia pająka, rozgwieżdżały kościsty nieboskłon i natychmiast unosiły je fale. Po każdym ataku Jacques Thejardin oczekiwał z lękiem na chwilę, gdy znów zakaszle i w tym celu liczył sekundy na wyskalowanej klepsydrze stojącej na nocnym stoliczku. Dręczyła go myśl, że nie będzie mógł poćwiczyć tak jak zwykle na fujarce: usta na pewno zmiękną, palce znów się zaokrąglą i wszystko trzeba będzie zacząć od nowa. Nieokrzesej fujarka wymaga od swych adeptów przerażającej siły woli, gdyż bardzo trudno jest się nauczyć na niej grać, a za to niezwykle łatwo zapomnieć tę odrobinę, której się nauczyło. Powtarzał sobie w myśli rytm osiemnastej części symfonii w b-minorowym nastroju, a tryle w pięćdziesiątym szóstym i pięćdziesiątym siódmym taktach potęgowały jego ból. Poczul, że zbliża się atak i uniósł dłoń do ust, by go choć częściowo powstrzymać. Ten wdrapał się ku górze, nadał tchawicę i kaszel wytrysnął gwałtownym strumieniem. Twarz

Jacquesa Thejardina stała się purpurowa, a oczy nabiegły krwią. Przetarł je rogiem chusteczki — specjalnie wybrał czerwoną nie chcąc jej poplamieć.

## II

Schody zaczęły dźwięczeć. Stopnie ułożone na metalicznych łożdach wibrowały jak gong: to niewątpliwie szła gospodyni z ziółkami. Na dłuższą metę ziółka powodują przekrwienie prostaty, lecz Jacques Thejardin nie zażywał ich często, toteż pewne było, iż uniknie operacji. Gospodyni zostało do pokonania już tylko jedno piętro. Była to piękna, gruba, trzydziestopięcioletnia kobieta, której mąż, przez długie, długie miesiące więzień w Niemczech, natychmiast po powrocie podjął pracę w zawodzie stawiacza zasieków z drutu kolczastego, jako że teraz przyszła jego kolej na zamykanie innych. Całymi dniami grodził krowie pastwiska na prowincji i rzadko dawał znaki życia. Otworzyła drzwi bez pukania i szeroko uśmiechnęła się do Jacquesa. Niosła niebieski, fajansowy dzbanek i kubek, który postawiła na nocnym stoliczku. Jej rozchylony szlafrok obnażył omszałe cienie kiedy pochyliła się, by mu poprawić poduszki, a Jacques poczuł ostry aromat jej brodatej tajemnicy. Mrugnął oczami gdyż zapach zdzielił go prosto między nie i wskazał palcem na inkryminowane miejsce.

— Przepraszam — powiedział — ale...

Urwał padłszy ofiarą gwałtownego ataku. Gospodyni nic nie rozumiejąc masowała sobie podbrzusze.

— Ta... pani... rzecz... — dokończył.

Chcąc go rozbawić uchwyciła w obie dłonie ten zabawny przedmiot i przy jego użyciu udało się jej naśladować odgłos kaczki myszkującej w bajorze; jednak mając na względzie kaszel Jacquesa szybko zamknęła szlafrok. Słaby uśmiech rozjaśnił twarz chłopca.

— W normalnych czasach — wyjaśnił przepaszająco — całkiem lubię takie *rzeczy*, *lecz teraz* mam głowę tak pełną hałasów, dźwięków i zapachów...

— Nalać panu ziółek? — zaproponowała pełna matczynej opiekuńczości.

Ponieważ nalewając puściła poły szlafroka, te rozchyliły się ponownie! Jacques dziubnął bestyjkę łyżeczką, która nagle została pochłonięta jednym haustem. Zaśmiał się tak głośno, że omal mu płuca nie pękły. Zgięty we dwoje, przyduszony, nie czuł nawet łagodnych i szybkich poklepywań, jakimi gospodyni osypywała jego plecy chcąc przerwać kaszel.

— Ależ jestem głupia — rzekła besztając sama siebie za to, że go rozśmieszyła. — Powinnam była pomyśleć, że nie ma pan teraz serca do figli.

Oddała mu *łyżeczkę* i przytrzymała kubek, gdy tymczasem on pił małymi łydkami ziółka o dzikim zapachu, mieszając je jednocześnie, by cukier się dobrze rozpuścił. Połknął dwie tabletki aspiryny.

— Dziękuję... — powiedział. — Teraz spróbuję zasnąć.

— Potem przyniosę panu inne ziółka — rzekła gospodyni składając na troje kubek i fajansowy dzbanek, dla wygody podczas transportu.

## III

Obudził się gwałtownie. Po aspirynie solidnie się spocił; ponieważ, zgodnie z prawem Archimedesza, stracił na wadze tyle ile wyniosła objętość wypoconej wody, jego ciało uniosło się ponad materac ciągnąc za sobą kołdrę, zaś powstały wskutek tego przeciąg marszczył powierzchnię kałuży potu, w której pływał — drobne falki pluskały o jego biodra. Wyciągnął korek z materaca i pot spłynął do włosianego wnętrza. Jego ciało opadło powoli i ponownie spoczęło na prześcieradle, parującym jak koń mechaniczny. Z potu pozostały lepkie resztki, na których wpadał w poślizg chcąc się unieść i wesprzeć na gąbczastej poduszce. Jego głowa znów zaczęła wibrować po kryjomu, zaś za mózgiem wyrosły żarna, które zaczęły mleć owe substancje poruszające się nadal pod jego czaszką. Powoli uniośł ręce i ostrożnie pomacał głowę. Wyczuwał deformację. Jego palce prześliznęły się od potylicy do nabrzmiałych kości ciemieniowych, dotknęły czoła, podążyły stromą krawędzią luków brwiowych i dotarły do skroni, po czym powróciły do kości jarzmowych, które przyciśnięte lekko się ugiwały.

Jacques Thejardin bardzo pragnął zobaczyć dokładnie kształt swojej czaszki. Niektóre są takie piękne, z profilu, tak doskonale proporcjonalne, krągłe. W czasie choroby w ubiegłym roku Jacques zrobił sobie zdjęcie rentgenowskie i wszystkie kobiety, którym je pokazał, z łatwością stawały się jego kochankami. To wydłużenie tyłu i obrzmienie kości ciemieniowych niepokoiło go bardzo. Być może to z powodu nieokrzęsanej fujarki... Dłonie powróciły na potylicę, zatrzymały się na chwilę w tym miejscu, gdzie głowa łączy się z karkiem, w którym rzepka poruszała się bezgłośnie, lecz z niejakim trudem. Wydawszy jęk niemocy opuścił ramiona, te opadły wzdłuż ciała i zakręciwszy szybko pośladkami od prawej do lewej wymościł sobie wygodny dołek w jeszcze miękkiej skorupie, która powoli zaczynała twardnieć. Nie śmiał zbyt mocno się wiercić, gdyż pot w sienniku przepływał nagle z lewej na prawą, kiedy opierał się na prawym ramieniu, burząc równowagę łóżka i zmuszając go do obwiązania się w pasie szerokim popręgiem z farbowanego płótna, ledwie mogącym go utrzymać. Kiedy opierał się na drugim ramieniu łóżko odwracało się całkowicie, a sąsiad z dołu walił w sufit udźcem baranim, którego zapach przesączał się przez szczeliny w podłodze i podrywał w górę głowę Jacquesa. Nie chciał skanalizować materaca na podłogę. Piekarz z sąsiedztwa nieźle mu płacił za ten pot: butelkował go, naklejał etykietkę *Pot Frontowy*, a ludzie kupowali, by ułatwić sobie spożywanie przypalonego w 99 procentach chleba z Apropowizacji Wojskowej.

— Jakoś mniej kaszlę — pomyślał.

Jego pierś pozwalała sobie na regularne ruchy," a szmer płuc stał się prawie niedosłyszalny. Ostrożnie wyciągnął lewe ramię i wziął fujarkę leżącą na krześle obok łóżka. Położył ją obok siebie, po czym jego dłonie uniosły się ku głowie, prześliznęły się od potylicy do nabrzmiątych kości ciemieniowych, dotknęły czoła i podążyły stromą krawędzią łuków brwiowych.

#### IV

— Było jedenaście litrów — powiedział piekarz.

— Kilka straciłem — wyjaśnił Thejardin. — Siennik nie jest zbyt szczelny.

— A pot nie jest zbyt czysty — dodał piekarz. — Słuszniej byłoby policzyć to za dziesięć litrów.

— Pan jednak sprzeda jedenaście — rzekł Jacques.

— Oczywiście — powiedział piekarz. — Lecz będę miał wyrzuty sumienia. To ma swoją cenę.

— Potrzebuję pieniędzy — powiedział Jacques. — Nie gram od trzech dni.

— Ja też nie mam za dużo pieniędzy — odparł piekarz. — Utrzymanie dwudziestodzieciokonnego wozu jest drogie, a służba mnie rujnuje.

— Ile pan mi może dać? — zapytał Jacques.

— O rany! — zawołał piekarz. — Proponuję panu trzy franki za litr, przy czym jedenaście policzymy za dziesięć.

— Niech pan się trochę wysili — rzekł Jacques. — To nie za wiele.

— Dobra! — zawołał piekarz. — Niech będzie trzydzieści trzy franki, ale to prawdziwe zdzierstwo.

— Dawaj pan — powiedział Jacques.

Piekarz wyciągnął z portfela sześć banknotów siedmiofrankowych.

— Proszę mi zwrócić dziewięć franków — powiedział.

— Mam tylko dziesięć — odrzekł Jacques.

— To będzie akurat — stwierdził piekarz. Schował pieniądze do kieszeni, podniósł wiadro i udał się ku drzwiom.

— Niech pan próbuje przygotować mi następne — powiedział.

— Nic z tego — odrzekł Jacques. — Nie mam już gorączki.

— Trudno — powiedział piekarz i wyszedł.

Dłonie Jacquesa uniosły się ku głowie i znów zaczął głaskać swe zdeformowane kości.



Usiłował unieść czaszkę; pragnął poznać jej dokładny ciężar, lecz musiał zaczekać aż całkiem wydobrzeje, a poza tym przeszkadzała mu szyja.

## V

Z trudem odrzucił kołdrę. Jego chude nogi, pofałdowane wskutek pięciodniowego odpoczynku, leżały przed nim. Popatrzył na nie bez entuzjazmu i spróbował wygładzić dłonią, po czym zrezygnowawszy usiadł na krawędzi łóżka i z wysiłkiem wstał. Z powodu nóg stracił dobre pięć centymetrów. Wypiął tors, żebra zatrzeszczały. Angina płamista pozostawiła ślady. Koszula nocna opadała długimi, oklapłymi fałdami na zapadnięte pośladki. Zwiotczałe wargi i napęczniałe palce nie pozwalały mu już na granie na nieokrzesanej fujarce — stwierdził to natychmiast.

Zdrzutotany opadł na krzesło trzymając się dłońmi za głowę. Palce odruchowo pomacały skronie i ciężkie czoło.

## VI

Dyrygent orkiestry, w której grał Jacques, wchodził po schodach, na chwilę zatrzymał się przed drzwiami, przeczytał wizytówkę i wszedł.

— Dzień dobry — powiedział. — To jak, czujesz się lepiej?

— Zaraz wstaje — odrzekł Jacques. — Jestem jakiś miękki.

— Coś dziwnie pachnie na schodach — zauważył dyrygent.

— To gospodyni — powiedział Jacques. — Nigdy nie zapina szlafroka.

— Ładnie pachnie — stwierdził dyrygent. — Chyba dzikim królikiem.

— Owszem — powiedział Jacques.

— Kiedy wracasz do orkiestry? — zapytał dyrygent.

— A jest coś pilnego? — zapytał Jacques. — Nie chciałbym znowu grać na dworcu. W końcu muzyka kameralna, to muzyka kameralna...

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że z mojego powodu złapałeś anginę płamistą — zdenerwował się dyrygent. — W końcu wszyscy graliśmy na dworcu.

— Wiem — powiedział Jacques — ale to ja siedziałem w przeciagu i dlatego wam nic się nie stało.

— Austriackie gadanie — rzekł dyrygent. — *Zresztą* zawsze miałeś podły charakter.

— Nie — odparł Jacques. — Po prostu nie lubię być chory. Mam takie prawo.

— Powinienem dać ci zastępstwo — stwierdził dyrygent. — Nie można przecież grać z facetem, którego wszystko złości.

— W końcu — zawołał Jacques — omal mnie szlag nie trafił!...

— Wkurzasz mnie — rzekł dyrygent. — Ja nie mam z tym nic wspólnego. Kiedy możesz znowu zacząć grać?

— Nie wiem — powiedział Jacques. — Jestem miękki.

— Zaczynasz przesadzać — rzekł dyrygent. — W ten sposób się nie pracuje. Poproszę Alberta, aby cię zastąpił.

— Wypląć mi dwie gaże, które jesteś winien — powiedział Jacques. — Muszę zapłacić gospodyni.

— Nie mam przy sobie — odrzekł dyrygent. — Idę do Alberta. Masz naprawdę paskudny charakter.

— Kiedy mi zapłacisz? — zapytał Jacques.

— Och!... Zapłacę — odparł dyrygent. — Idę sobie. Palce Jacquesa błądziły po czole, a oczy miał na wpół przymknięte. Może cztery kilo?...

## VII

Mały palnik spirytusowy pomrukiwał groźnie, zaś woda wystraszona tym odgłosem zaczęła dygotać w aluminiowym garnku. Było jej zbyt dużo jak na taki mały palnik, choć niewątpliwie powinna się zagotować.

Jacques czekał siedząc na krześle. Walcząc z nudą ćwiczył na fujarce. Za każdym razem do

złapania si-bemol brakowało mu dwóch centymetrów, lecz wreszcie dopadł go i z triumfującą miną zgniótł w palcach. Sprawność wracała.

Przerwał ćwiczenia, gdyż ból również powrócił do jego głowy. A woda zaczynała wrzeć.

— Być może więcej niż cztery kilo — rzekł do siebie. — Zobaczymy...

Wtedy wziął wielki nóż i odciął sobie głowę. Wrzucił ją do wrzątku z dodatkiem szczypty soli krystalicznej, celem oczyszczenia i zachowania jasności umysłu. A potem umarł nie dokończywszy dzieła, gdyż stało się to w 1945 roku, a medycyna nie była tak doskonała jak teraz. Pofrunął do nieba na wielkim, okrągłym obłoku. Nie było najmniejszych powodów, by miał się udać gdzie indziej.

## Martwe ryby

Drzwi wagonu stawiały opór jak zwykle; na drugim końcu pociągu jego kierownik mocno naciskał na czerwony guzik, a sprężone powietrze tryskało w przewody. Asystent trudił się przy rozchyleniu obu skrzydeł. Było mu gorąco. Krople szarego potu płynęły mu zygzakami po twarzy jak muchy i widać było brudny kołnierzyk koszuli z pancernego muślinu.

Pociąg już miał ruszyć, kiedy kierownik puścił guzik. Powietrze czknęło radośnie pod pociągiem, a asystent omal nie stracił równowagi, gdyż drzwi nieoczekiwanie puściły. Zszedł utykając, nie omieszkawszy przy tym rozedrzeć sobie torby o mechanizm zamkowy.

Pociąg ruszył, a wynikłe z tego przemieszczenie mas powietrza rozpląszczyło asystenta na cuchnącym wychodku, gdzie dwóch Arabów rozmawiało o polityce przy pomocy długich noży.

Asystent wstrząsnął się, przyklepał włosy, które rozlały się po jego miękkiej czapce jak jakieś nadgniłe siano. Niewielkie kłęby pary unosiły się z jego na wpół odkrytej piersi, na której rysowały się wystające obojczyki oraz fragmenty jednej lub dwóch par koślawych i źle osadzonych żeber. Ciężkim krokiem przemierzył peron wyłożony sześciokątnymi kafelkami, czerwonymi i zielonymi, upakowanymi tu i ówdzie czarnymi maźnięciami: po południu spadł deszcz kałamarnic, lecz pracownicy kolei, którzy powinni byli — zgodnie z ich Wielką Kartą — poświęcić się sprzątanemu peronów, zajmowali się czynnościami zgoła niewymownymi.

Asystent pogrzebał w kieszeniach i natrafił palcami na szorstki, falisty kartonik, który miał zwrócić przy wyjściu. Kolana sprawiały mu ból, a wilgoć kałuż przeszukanych w ciągu dnia powodowała zgrzytanie marnie dopasowanych stawów.

Niósł w torbie łup bardziej niż przyzwoity — to trzeba było przyznać.

Podał bilet jakiemuś mężczyźnie stojącemu za płotkiem. Mężczyzna wziął go, obejrzał i uśmiechnął się srogo.

— Nie ma pan innego? — zapytał.

— Nie... — powiedział asystent.

— Ten jest fałszywy...

— Ależ to szef mi go dał — powiedział grzecznie asystent, z uśmiechem i lekkim mrugnięciem.

Urzędnik zaśmiał się szyderczo.

— W takim razie nie dziwi mnie, że jest fałszywy. Dziś rano kupił ich od nas dziesięć.

— Dziesięć czego? — zapytał asystent.

— Dziesięć fałszywych biletów.

— Ale po co? — zapytał asystent.

Tamten uśmiechał się teraz półgębkiem, a drugie pół zwisało luzem.

— Żeby go dać panu — powiedział urzędnik. — Przede wszystkim po to, żeby pana

opieprzono, co niniejszym czynię — *primo* i *secundo*, żeby był pan zmuszony zapłacić karę.  
— Dlaczego? — zapytał asystent. — Ja mam bardzo mało pieniędzy.  
— Dlatego, że to obrzydliwość podróżować z fałszywym biletem... — odrzekł urzędnik.  
— Ale to przecież wy je produkujecie!...  
— Bo tak trzeba. Bo są faceci na tyle paskudni, żeby podróżować z fałszywymi biletami. Pan myśli, że to zabawne, przez cały dzień produkować fałszywe bilety?  
— Pewnie że lepiej byście zrobili sprząając perony — zauważył asystent.  
— Tylko mi tu bez mądralowania — powiedział urzędnik. — Płać pan mandat. Trzydzieści franków.  
— To niemożliwe... — zawołał asystent. — Kiedy się nie ma biletu, płaci się dwanaście franków.  
— Ale posiadanie fałszywego to sprawa o wiele poważniejsza — rzekł urzędnik. — Płać pan, albo zawołam psa!  
— I tak nie przyjdzie — powiedział asystent.  
— Nie — przyznał urzędnik — ale pana rozboleją od tego uszy.  
Asystent popatrzył na ponurą i wychudłą twarz urzędnika, który odwdzieczył mu się jadowitym spojrzeniem.  
— Mam bardzo mało pieniędzy — szepnął.  
— Ja też — rzekł urzędnik. — Płać pan.  
— Szef mi daje pięćdziesiąt franków dziennie... — powiedział asystent — i muszę się z tego wyżywić.

Urzędnik pociągnął za daszek swojej czapki i błękitna kurtyna zakryła mu twarz.

— Płać pan... — powiedział ręcznie, pocierając palcem wskazującym o kciuk.

Asystent sięgnął po swoją lśniącą, pozszywaną portmonetkę. Wyciągnął z niej dwa dziesięciofrankowe banknoty przesączone jego krwawym potem, już zaschniętym i jeden mniejszy, pięciofrankowy, który jeszcze krwawił.

— Dwadzieścia pięć... — zaproponował niepewnie.

— Trzydzieści... — powiedziały trzy rozcapierzone palce urzędnika.

Asystent westchnął, a twarz szefa pojawiła się pomiędzy palcami jego stopy. Splunął na nią, prosto w oko. Serce waliło mu mocniej. Twarz skurczyła się i pociemniała. Położył pieniądze na wyciągniętej dłoni i wyszedł. Usłyszał trzaśnięcie, jakie wydał daszek czapki wracający na swe zwykłe miejsce. Wolnym krokiem dotarł do skraju stromizny. Torba kaleczyła jego chude biodra, a bambusowa rączka siatki, zależnie od stanu drogi, tłukła go po wątlých i koślawych łydkach.

## II

Pchnął żelazną furtkę, która ustąpiła z przeraźliwym zgrzytem. Wielka, czerwona lampa zapaliła się na szczycie schodów, a dzwonek rozbrzmiał słabo w westybulu. Wszedł najszybciej jak mógł i zamknął furtkę ulegając elektrowstrząsowi, gdyż urządzenie antywłamaniowe nie znajdowało się na zwykłym miejscu.

Ruszył alejką. Dokładnie w jej połowie natrafił nogą na jakiś twardy przedmiot i strumień lodowatej wody wytrysnął z ziemi i wnuknąwszy między kostkę a spódnie, zmoczył go aż do kolan.

Zaczął biec. Wściekłość, jak *co* wieczór, ogarniała go stopniowo. Wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie z zaciśniętymi pięściami. Na górze siatka zaplątała mu się między nogami i wykonując ruch, który miał go ochronić przed upadkiem, po raz drugi rozdarł torbę, tym razem o gwóźdź wystający po prostu znikąd. Coś tam sobie skręcił wewnątrz ciała i dyszał bez słowa. Po kilku chwilach uspokoił się i broda opadła mu na pierś. Potem poczuł ziąb ciągnący od wilgotnych spodni i złapał za gałkę przy drzwiach. Puścił ją pośpiesznie. Rozszedł się paskudny zapach, a kawałek jego skóry, który przywarł do rozpalonej porcelany marszczył się i czerniał. Drzwi były otwarte. Wszedł.

Chude nogi z trudem go unosiły i zwałił się w kąt westybulu na zimne kafelki cuchnące

trądem. Serce burczało mu między żebrami i wstrząsało nim brutalnie i nieregularnie.

### III

— Malizna — powiedział szef. Spoglądał na zawartość torby. Asystent stojąc przy stole czekał.

— Zniszczył je pan — dodał szef. — Ząbkowanie tego jest całkiem zniszczone.

— Bo siatka jest za stara — powiedział asystent. — Jeśli pan chce, żebym mu nałapał znaczków młodych i w dobrym stanie, musi mi pan kupić nową siatkę.

— A kto ją niszczy? — zapytał szef. — Pan czy ja? Asystent nic nie odpowiedział. Przypieczona ręka

sprawiała mu ból.

— Proszę odpowiedzieć — rzekł szef. — Pan czy ja?

— Ja dla pana — odpowiedział asystent.

— Ja pana nie zmuszam — rzekł szef. — Skoro ma pan pretensje do zarabiania pięćdziesięciu franków dziennie, musi pan je w jakiś sposób uzasadnić.

— Minus trzydzieści franków za bilet... — powiedział asystent.

— Jaki bilet? Opłacam panu przejazd tam i z powrotem.

— Fałszywymi biletami.

— A, to trzeba uważać.

— A niby w jaki sposób miałbym to zauważyć?

— To nic trudnego — powiedział szef. — Są bez wątplenia fałszywe te, które zrobiono z falistego kartonu. Bilety normalne są drewniane.

— Dobrze — powiedział asystent. — Pan mi zwróci moje trzydzieści franków.

— Nie. Wszystkie te znaczki są w złym stanie.

— To nieprawda — sprzeciwił się asystent. — Dwie godziny zajęło mi wyłowienie ich i musiałem jeszcze wyrąbać przerębel. Zachowałem wszelkie środki ostrożności i na sześćdziesiąt tylko dwa są zniszczone.

— Ale nie takie chciałem — powiedział szef. — Chcę dwieście sztuk Gujany 1855. I do niczego nie jest mi potrzebna seria z Zanzibaru, którą złapał pan już wczoraj.

— Biorę co znajdę — rzekł asystent. — Zwłaszcza używając takiej siatki. A poza tym to nie sezon na Gujany. A Zanzibary może sobie pan wymienić.

— W tym roku wszyscy je mają — powiedział szef. — Już nic nie są warte.

— A zmoczone nogi, kopiająca furtka i gałka przy drzwiach... — wybuchnął nagle asystent.

Jego mizerna, pożółkła twarz pokryła się zmarszczkami i wyglądał jakby był gotów rozpląkać się.

— To pana zahartuje — powiedział szef. — A co ja niby mam tu robić? Ja się nudzę.

— Niech pan idzie szukać znaczków — rzucił asystent. Udało mu się powstrzymać za cenę olbrzymiego wysiłku.

— Panu za to płacę — powiedział szef. — Pan jesteś złodziej. Kradnie pan pieniądze, które pan zarabia.

Asystent, pełnym znużenia ruchem, przetarł czoło wyświechtanym rękawem. Głowę miał jasną jak dzwon. Stolik uchylił się przed nim lekko, więc musiał poszukać jakiegoś innego punktu wsparcia. Lecz kominek również się wywinął i asystent padł jak długi.

— Wstawaj pan — powiedział szef. — Tylko nie na moim dywanie...

— Chciałbym zjeść kolację — rzekł asystent.

— Kiedy indziej, jak przyjdzie pan wcześniej — odparł szef. — Wstawaj pan. Nie chcę pana widzieć na moim dywanie. Wstawaj pan do wszystkich diabłów!

Głos drżał mu z wściekłości, a węzłaste dłonie bębniły o biurko.

Asystent wykonał straszny wysiłek i udało mu się ukłęknać. Bolał go brzuch, a z ręki płynęła posoka i krew. Owinął ją brudną chusteczką do nosa.

Szef dokonał szybkiego wyboru i rzucił mu trzema znaczkami w twarz. Przywarły do jego

policzka z cichym odgłosem przyssawki.

— Odniesie je pan tam, skąd je pan przyniósł — powiedział.

Wyrzucał z siebie sylaby w taki sposób, by nabrały kształtu ostrych strzał.

Asystent płakał. Miękkie włosy spadały mu na czoło, a znaczki znaczyły lewy policzek. Ciężko wstał.

— Powtarzam po raz ostatni — powiedział szef — nie chcę żadnych znaczków w złym stanie. I nie opowiadaj mi tu pan historii o siatce.

— Dobrze, proszę pana — odrzekł asystent.

— Oto pańskie pięćdziesiąt franków — powiedział szef.

Wyciągnął banknot z kieszeni, napluł nań, przedarł na pół i rzucił na ziemię.

Asystent pochylił się z trudem. Jego kolana trzasnęły, wydając dźwięki suche i krótkie.

— Ma pan brudną koszulę — powiedział szef — dzisiejszej nocy będzie pan spał na zewnątrz.

Asystent podniósł banknot i wyszedł z pomieszczenia. Wiatr wiał w najlepsze i trzepotał falistą szybą o kratkę z kutego żelaza przy drzwiach prowadzących do westybulu. Asystent zamknął drzwi od gabinetu nie omieszkawszy obrzucić ostatnim spojrzeniem postaci szefa. Ten zaś, pochylony nad albumem ze znaczkami z Zanzibaru, uzbrojony w dużą, żółtą lupe, zaczął oglądać je dla dokonania wyceny.

#### IV

Asystent zszedł po schodach przyciskając do siebie długą marynarkę, pozieleniałą od nazbyt częstych kontaktów z wodą z kałuż ze znaczkami. Wiatr wciskał się przez dziurki w materiale i wydymał plecy asystenta, tak że wyglądał on jakby był garbaty, co nie pozostawało bez ujemnego wpływu na jego kręgosłup; cierpiał na mimetyzm wsobny i codziennie musiał walczyć o to, by jego znajdujące się w kiepskim stanie organy zachowały zwykły kształt i normalne funkcje.

Była już głęboka noc, a ziemia wydzielala tanie, przyćmione światło. Asystent skręcił w prawo i poszedł wzdłuż ściany domu. Kierował się wedle czarnej linii, jaką tworzył rozwinięty wąż, którego szef używał do topienia szczurów w piwnicy. Dotarł do pobliskiej przegniętej budy, gdzie spał już poprzedniej nocy. Znajdująca się wewnątrz słoma była wilgotna i cuchnęła karaluchami. Strzęp starego koca maskował okrągłe wejście. Kiedy go uniósł, by wśliznąć się po omacku do środka, rozbłysło oślepiające światło i rozległ się wybuch. W budzie wybuchła spora petarda, napełniając ją gryzącym zapachem prochu.

Asystent aż podskoczył, a serce tłukło się w nim jak oszalałe. Usiłował osłabić uderzenia wstrzymując oddech, lecz wszystko zaczęło mu latać przed oczami i łapczywie połknął haust powietrza. Smród prochu wdarł mu się jednocześnie do płuc i uspokoił nieco.

Asystent zaczął czekać aż nastanie cisza i uważnie nadstawił ucha, po czym zagwizdał cichutko. Nie odwracając się wszedł na czworakach do budy i wyciągnął się na obrzydliwej słomie. Znowu zagwizdał i natężył słuch. Zbliżały się ciche i lekkie kroczki i w bladym świetle ziemi dostrzegł swoją żywą rzecz, włochatą i łagodną, oswojoną, którą karmił, jak tylko mógł, martwymi rybami. Weszła do budy i położyła się na nim. Asystent przypomniał sobie wszystko i uniósł dłoń do policzka. Trzy znaczki zaczęły wysysać mu krew, więc oderwał je brutalnie, powstrzymując się od krzyku. Wyrzucił je z budy, daleko od siebie. Żywa rzecz zaczęła go lizać po policzku, on mówił do niej, żeby się uspokoić. Szeptał cicho, gdyż jego szef, kiedy był sam, używał różnych podsłuchów.

— Wkurza mnie — westchnął.

Żywa rzecz zaszemrała słodko i lizała go w najlepsze.

— Myślę, że powinienem coś zrobić. Nie pozwolić się maltretować, mimo jego oporu wkładać czyste koszule i mieć drewniane, fałszywe bilety. A oprócz tego nareperować siatkę i unikać dziurawienia jej. Sądzę, że powinienem sprzeciwić się wyrzucaniu mnie na noc do budy i zażądać dla siebie pokoju, a także domagać się podwyżki, bo nie mogę przecież żyć za pięćdziesiąt franków dziennie. A także utyc, stać się krzepkim i bardzo przystojnym, i

zbuntować się zanim on *zacznie* się czegokolwiek spodziewać, i rzucić mu cegłę na łeb. Myślę, że to zrobię.

Zmienił pozycję i rozmyślał tak intensywnie, że powietrze buchało z budy przez okrągły otwór wielkimi kłębami i wewnątrz nie zostało go dość do oddychania. Trochę wpadało przez szpary i spod podłogi, przez słomę, lecz zwiększało natężenie zapachu karaluchów, z którym mieszał się jeszcze dodatkowo niemiły odór ślimaków w rui.

— Nie lubię tej budy. Zimno tu. Całe szczęście, że ty tu jesteś. Z piwnicy dochodzą hałasy, ta woda wpadająca do szczurzych nor. Przez te szczurze piski przeszywające uszy każdego wieczora, który spuszcza na ziemię dobry Pan Bóg, nie można spać. Dlaczego szef chce za wszelką cenę wytluc te szczury i to na dokładkę wodą? Szczury zabija się krwią.

Żywa rzecz już go nie lizała. Widział ją z profilu na szarym tle jaśniejącej ziemi, jej delikatny pyszczek i spiczaste uszy, żółte oczy odbijające jakieś zimne błyski. Okręciła się wokół siebie szukając wygodniejszej pozycji i przywarła do niego, nos złożywszy mu na udach.

— Zimno mi — powiedział asystent.

Zaczął cicho szlochać. Łzy spływały na słomę, skąd unosiła się lekka para, a kształty przedmiotów stały się niewyraźne.

— Obudź mnie jutro rano — dodał. — Muszę odnieść te trzy znaczki. Żeby tylko znów mi nie dał jutro fałszywego biletu na pociąg.

Gdzieś daleko rozległ się jakiś zgiełk, potem ostre syki i odgłosy cichych galopad.

— Och!... — jęknął asystent. — No właśnie! Znowu zaczyna z tymi szczurami! Chciałbym, żeby to on był szczurem. A ja trzymałbym węża. Mam nadzieję, że jutro wieczorem da mi moje pięćdziesiąt franków. Jestem głodny. Zjadłbym nawet żywego szczura.

Przycisnął brzuch dwiema rękami i płakał dalej, a potem rytm jego szlochów osłabł zwolna, jak zatrzymująca się maszyna, a poskręcane ciało rozluźniło się. Nogi wystawały mu z budy przez otwór i spał przyciskając policzek do cuchnącej słomy. Jego pusty brzuch wydawał dźwięki przesypującego się żwiru.

## V

Z pomieszczenia, po którym łaził na czworakach, szef dosłyszał melodyjną frazę, jaką roznosicielka pieprzu oznajmiała na ogół swe nadejście. Stał na równe nogi i stwierdził, że w ten sposób można chodzić, więc pobiegł do westybulu, którego drzwi otworzył ze świadomą brutalnością. Stanąwszy przed wejściem patrzył na nadchodzącą dziewczynę.

Miała na sobie zwyczajowy uniform: króciutką, plisowaną spódniczkę, krótkie, czerwono-niebieskie skarpetki i bolerko obnażające dolną część piersi oraz — oczywiście — bawełnianą szlafmycę w czerwone i białe paski, którą, dzięki cierpliwości, roznosiciele pieprzu z Mauritiusu rozpowszechnili na całym świecie.

Szef dał jej znak, więc weszła na alejkę. Tymczasem on zszedł po schodach i ruszył jej na spotkanie.

— Dzień dobry — powiedział. — Chciałbym trochę pieprzu.

— Ile ziarenek? — zapytała ze sztucznym uśmiechem, bo go nienawidziła.

Jej czarne włosy i martwa skóra działały na niego tak, jak szklanka lodowatej wody wylana na klejnoty rodzinne, co w gruncie rzeczy jest silnym doznaniem.

— Niech pani wejdzie po schodach — powiedział — a ja określe ilość.

— Chce pan zostać z tyłu, obejrzeć moje uda i tyle, co?

— Owszem — odparł szef śliniąc się. Wystartował z łapami.

— Najpierw niech pan zapłaci za pieprz — powiedziała.

— Ile?

— Sto franków za ziarenko i najpierw musi pan spróbować.

— A wejdzie pani po schodach?... — szepnęła szef. — Dam pani serię znaczków z Zanzibaru.

— Brat przyniósł mi wczoraj trzy takie — odrzekła z miodowym szyderstwem. — Niech pan spróbuje mego pieprzu.

Podawała mu ziarenko, a szef nie zauważył, że było to nasionko trującego goździka. Z ufnością

uniósł je do ust i połknął.

Roznosicielka pieprzu już się oddalała.

— Jak to? — zdziwił się szef. — A schody?

— Ha! Ha! Ha! — zaśmiała się roznosicielka pieprzu z absolutną złościwością.

Tymczasem szef zaczął odczuwać wzmacniające działanie trucizny i puścił się biegiem dookoła domu. Roznosicielka pieprzu przyglądała mu się oparłszy się o płotek.

Przy trzecim okrążeniu dała mu znak i zaczęła aż na nią spojrzeć, co stało się przy czwartym kółku, gdy pędził *jeszcze* szybciej. Wtedy zadarła plisowaną spódniczkę i ze swego miejsca ujrzała jak twarz szefa staje się fioletowa, potem czarna i wreszcie *zaczyna* płonąć, a ponieważ wzrok nadal miał wbity w to, co mu pokazywała, zahaczył o wąż, którego używał do topienia szczurów i padł twarzą na wielki kamień; ten zaś wbił mu się między kości policzkowe, dokładnie w miejsce nosa i szczęk. Jego stopy szorowały *jeszcze* po ziemi i drążyły podwójną koleinę, a w miarę jak zdzierały się buty, widać było ślady pięciu grubych paluchów, które służyły mu do przytrzymywania skarpet.

Roznosicielka pieprzu zamknęła furtkę i ruszyła swoją drogą, a na znak szyderstwa odrzuciła na drugą stronę chwościk bawełnianej szlafmocy.

## VI

Asystent na próżno usiłował otworzyć drzwiczki wagonu. W pociągu było bardzo gorąco, dzięki czemu podróżni wysiadając łapali katar, zaś mechanik miał brata, który handlował chusteczkami do nosa.

Ciężko harował przez cały dzień zdobywając mizerny łup, lecz serce jego przepelnione było satysfakcją, bo miał zamiar zabić swego szefa. Udało mu się wreszcie rozchylić oba skrzydła drzwi ciągnąc je w górę i w dół, i zrozumiał, iż kierownik w czapce odwrócił je na bok, żeby mu zrobić brzydki kawał. Szczęśliwy, że udało mu się odkryć ten fortel, wyskoczył lekko na peron i pogrzebał w kieszeni. Bez trudu znalazł kawałek falistego kartonu, dzięki któremu mógł opuścić dworzec i szybko ruszył ku wyjściu, gdzie stał już niepozornie wyglądający mężczyzna. Rozpoznał w nim wczorajszego urzędnika.

— Mam fałszywy bilet... — powiedział.

— Ach! — zawołał tamten. — Pokaż pan...

Podał bilet, a mężczyzna wziął go i obejrzał tak uważnie, że aż rozszerzyła się czapka i uszy wpadły mu do środka.

— Niezła robota — powiedział.

— Tyle, że nie jest z drewna, lecz z kartonu — powiedział asystent.

— Naprawdę? — zapytał mężczyzna. — Przysiąc by można, że jest drewniany, oczywiście gdyby się nie wiedziało, że jest z kartonu.

— A jednak — powiedział asystent. — I pomyśleć, że szef dał mi go jako prawdziwy...

— Prawdziwy kosztuje tylko dwanaście franków — odrzekł mężczyzna. — A za te płaci o wiele drożej.

— Ile? — zapytał asystent.

— Dam panu trzydzieści franków — powiedział mężczyzna i wsadził rękę do kieszeni.

Widząc z jaką łatwością wykonał ten gest, asystent pomyślał, że tamten z pewnością nieładnie się zachowa. Lecz mężczyzna wyjął po prostu trzy dziesięciofrankowe banknoty podrobione przy pomocy likieru orzechowego.

— Proszę — powiedział.

— Oczywiście są fałszywe? — zapytał asystent.

— Niech pan pomyśli, przecież nie mogę dać panu prawdziwych banknotów za fałszywy bilet — powiedział urzędnik.

— Nie — przyznał asystent — ale ja zatrzymam mój bilet.

Sprężył się i wziął zamach, dzięki czemu jego chuda pięść mogła obedrzeć ze skóry całą prawą stronę twarzy w czapce. Mężczyzna podniósł rękę do daszka i padł na baczność, w związku z czym uderzył łokciem o twardy beton peronu, w tym akurat miejscu wyłożonego

sześciokątnymi kafelkami, błękitnymi i fosforyzującymi.

Asystent przeskoczył przez ciało i poszedł dalej. Czuł jak upaja go gorące i przejrzyste życie, więc przyspieszył kroku, by wdrapać się na urwisko. Odpiął siatkę z rzemienia i wspierał się na niej przy wchodzeniu. Przechodząc, szturchał łby żelaznych słupów podtrzymujących siatkę ochronną, ciągnącą się wzdłuż torów biegnących wykopem i podpierając się rączką siatki wspinał się bez trudu między ostrymi kamieniami leżącymi na *ścieżce*. Po kilku metrach oddarta kieszeń uleciała. Miał zamiar założyć swemu szefowi na szyję pętlę ze stalowego drutu.

Bardzo szybko dotarł do furtki i pchnął ją nie zachowując środków ostrożności. Miał nadzieję na wstrząs elektryczny, który podsyciłby jego gniew, lecz nic nie poczuł i stanął. Przy schodach coś poruszało się niewyraźnie. Popędził alejką. Pomimo chłodu jego skóra zaczynała rudzić i czuł zaniedbany zapach swego ciała, przemieszany z lekkim odorkiem słomy i karaluchów.

Napiął patykowate bicepsy, a palce zacisnął na bambusowej rączce. Niewątpliwie szef kogoś zabił.

Przystanął zaskoczony rozpoznawszy ciemny garnitur i lśniący od krochmalu kołnierzyk. Głowa szefa była już tylko czarną masą, a nogi kończyły drażnienie dwóch głębokich kolein.

Asystenta opadła czarna rozpacz, drżał na całym ciele targany wściekłością i żądzą krwi. Miotał spojrzenia dookoła, zaniepokojony i wstrząśnięty. Przygotował sobie do powiedzenia mnóstwo rzeczy. Trzeba było je powiedzieć.

— Dlaczegoś to zrobił, świniu?

„Świniu” zabrzmiało w obojętnym powietrzu jakoś płasko i anachronicznie.

— Świnia! Łajdak! Palant! Gówniarz! Palant złamany! Złodziej! Szuja! Palant!

Łzy płynęły mu z oczu, bo szef nie odpowiadał. Złapał bambusową rączkę i wbił ją w sam środek pleców szefa.

— Odpowiadaj, złamasie. Dałeś mi fałszywy bilet.

Napierał całym ciężarem, a rączka wbijała się w materiał naruszony przez truciznę. Żeby wypłoszyć robale zakręcił bambusowym kijem, poruszając drugim jego końcem jak żyroskopem.

— Fałszywy bilet, słoma z karaluchami, moje trzydzieści franków, jestem głodny, a moje dzisiejsze pięćdziesiąt franków?

Szef prawie się już nie poruszał, a robale nie wychodziły.

— Chciałem cię zabić, palancie złamany. Musiałem cię zabić. Zabić cię, martwego, złamasie, ciebie, tak. Moje pięćdziesiąt franków, he?

Wyrwał rączkę z rany i z całej siły zaczął walić w zwęgloną czaszkę, która rozsypała się jak skórka zbyt wypieczonego sufletu. W miejscu głowy szefa nie było już nic. Wszystko kończyło się przy kołnierzu.

Asystent przestał drzeć.

— Wolisz się wynieść? Dobra. Ale ja muszę kogoś zabić.

Usiadł na ziemi i zapłakał tak jak poprzedniego dnia, a jego żywa rzecz nadbiegła lekkim kroczeniem w poszukiwaniu przyjaźni. Asystent zamknął oczy. Czuł na swoim policzku łagodny i pieśczośliwy dotyk, a jego palce zacisnęły się na wątlej szyjce. Żywa rzecz nie wykonała nawet ruchu, by się wyrwać, a kiedy pieśczołota na jego policzku stała się lodowata, wiedział już, że ją udusił. Wtedy wstał. Pokuśtykał alejką i wyszedł na drogę, ruszył w prawo, nie wiedząc dokąd, a szef całkiem już się przestał ruszać.

## VII

Ujrzał wielką kałużę z niebieskimi znaczkami, tuż przed sobą. Zapadał zmierzch, a woda rozbłyskiwała jakimiś tajemniczymi, dalekimi refleksami. Kałuża była niezbyt głęboka, znajdowały się w niej setki znaczków, lecz niezbyt wielkiej wartości, bo mnożyły się przez okrągły rok.

Wyjął z torby dwa paliki i wbił je koło kałuży w odstępach jednego metra. Rozpiął na nich



ostrzy stalowy drut i puknąwszy go palcem wydobył smutny ton. Drut znajdował się na wysokości dziesięciu centymetrów nad ziemią, równoległe do powierzchni kałuży. Asystent oddalił się o kilka kroków, po czym odwrócił się twarzą w stronę wody i ruszył prosto na drut. Oczy miał zamknięte i pogwizdywał czułą melodię, tę którą lubiła żywa rzecz. Szedł powoli, drobnymi kroczkami aż jego stopy zahaczyły o stalowy drut. Upadł głową do wody. Ciało pozostało nieruchome, a pod niema powierzchnią błękitne znaczki przywierały już do jego zapadniętych policzków.

## Mgła

Dyrektor szpitala dla psychicznie chorych popatrzył na odchodzącego Andre. Ten szedł przyciskając łokcie do ciała, odrzuciwszy głowę w tył pod kątem prostym.

— Jest zupełnie wyleczony — pomyślał dyrektor. Gdy mu go przyprowadzono trzy miesiące wcześniej,

pensjonariusz ten mógł się przemieszczać jedynie z rozstawionymi ramionami, patrząc we własny pępek i wydając ustami dźwięk leżącego trzmiela.

— Szczególny przypadek — rzekł do siebie dyrektor. Wyjął paczkę papierosów, wepchnął sobie jednego w ucho i zaczął żuć zapalną przeskakując z nogi na nogę, a wreszcie, na czworakach wrócił do swego biurka.

Andre przeszedł dwieście metrów i, czując zmęczenie, rozłożył ramiona, pochylił głowę i nadawszy policzki oddalił się robiąc: Bzzzzzz...

Ziemia drżała pod jego stopami, a przydrożne drzewa machały ogonami. Gościnne domki okapturzone zdeflorowaną winoroślą wpatrywały się w brodatą fizjonomię przechodzącego Andre, lecz nie wyciągały z niej żadnego konkretnego wniosku.

Widząc nadjeżdżający tramwaj Andre puścił się sprintem tak ostrym, że aż kaleczącym go do krwi, zaś ryk bólu, jaki wydał z tego powodu zagłuszył hałas spowodowany przez wejście w kontakt z przodem tramwaju kości ciemieniowej biegnącego.

Jak się tego spodziewał zaprowadzono go do apteki, by mu zaaplikować alkoholowy środek na rany, mimo że był wtorek. Zostawił niewielki napiwek i ruszył w powrotną drogę.

## II

Ze swego okna na piątym piętrze widział teraz dach domu stojącego naprzeciwko, nieco niższego, w którym stojące zbyt długo otworem okiennice poznały ściany poziomymi paskami, absolutnie niewidocznymi, jako że okiennice były zawsze otwarte. Na trzecim piętrze jakaś dziewczyna rozbierała się przed szafą z lustrem i widać było skraj łóżka z ostygniętego palisandra, przykryty wściekle żółtym, amerykańskim edredonem, od którego odcinały się wyraźnie jakieś zniecierpliwione stopy.

Po zastanowieniu można dojść do wniosku, że nie była to żadna dziewczyna, a napis nad drzwiami budynku: *Hotel Sportów*, pokoje na godziny, pół godziny i numerki, dostatecznie o tym świadczył. Lecz hotel wyglądał porządnie z mozaiką na fasadzie na wysokości parteru, z zasłonami we wszystkich oknach i tylko jedną, lekko uszkodzoną dachówką na środku dachu. Pozostałe dachówki zostały wymienione po ostatnim bombardowaniu, zaś ich nieco jaśniejsza czerwień rysowała na brązowym dachu profil brzemiennej Marii Stuart z podpisem artysty: Gustave Laurent, dekarz, ulica Gambetty. Sąsiedni dom nie był odremontowany, brezentowa plandeka pokrywała nadal olbrzymią, ziejącą dziurę w jego prawym krańcu, zaś kupa gruzu i żelastwa wznosiła się u stóp muru zamieszkałego przez jadowite stonogi i grzechotniki, których grzechotki rozbrzmiewały do późna w nocy, jakby zwołując wiernych na czarną

mszę.

Ostatnie bombardowanie miało również inne skutki, jak na przykład wysłanie Andre do domu wariatów. Było to drugie, jakie przeżył, a jego mózg przyzwyczajony do swobodnego czerpania z ewangelii wedle świętego Zano, został wprawiony przy tej okazji w ruch wirowy po płaszczyźnie pionowej. Tym samym podzielił Andre na dwie, prawie identyczne części i — dla kogoś, kto patrzył na niego z profilu, zgodnie z ruchem wskazówek zegara — pochylił jego czaszkę w przód oraz zmusił go do wyciągnięcia ramion dla zachowania równowagi. Uzupełniał to oryginalne ułożenie ciała lekko zrytmizowanym: Bzzzzzz, sytuując go tym sposobem na poziomie o kilka łokci wyższym od przeciętnej.

Zjawisko to powoli zanikało dzięki solidnym staraniom dyrektora domu wariatów, a odruch Andre przyjmującego swą poprzednią postawę natychmiast po znalezieniu się poza zasięgiem wzroku tego życzliwego człowieka wskazywał na silną potrzebę wolności, łatwo wytłumaczalną, gdy się weźmie pod uwagę pewną kokieterię pomysłodawcy.

Zegar adwokata wybił piętro niżej piątą. Uderzenia dzwoneczka o brąz rozbrzmiewały w sercu Andre tak, jak gdyby były wystukiwane we wszystkich czterech kątach pomieszczenia na raz. W okolicy nie było kościołów. Jedynie zegar adwokata łączył Andrś ze światem zewnętrznym.

Lakierowany dąb. Cyferblat okrągły i gładki z matowego metalu. Cyfry powleczone czerwoną miedzią, a nieco niżej fragment szklany, przez który można było dostrzec balans, krótki i cylindryczny, zakończony szpulą przesuwającą się na innym, kształtnym trzpieniu, stanowiącym ogranicznik dla poprzecznego, zaokrąglonego ramienia mechanizmu kotwicowego. Jak przystało na porządny zegar elektryczny, nie zatrzymywał się nigdy, a kotwica była niewidoczna dla wszystkich. Lecz Andre widział ją w dzień bombardowania przez uchylone drzwi, nie domknięte przez adwokata. Zegar pokazywał godzinę szóstą, połowę wieczności, i właśnie w tym momencie zaskoczyła go bomba, z groźną miną pokazując mu drzwi i zionąc w twarz ohydny oddechem. Umknął, jego upadek po schodach zakończył się dopiero w piwnicy, a jedenaście stopni straciło przy tym swe frędzle ze żłobkowanego mosiądzu.

Zatrzymany zegar, gdyby tylko Andre wszedł w jego posiadanie, pozwoliłby mu na zarzucenie kotwicy w czasie.

### III

Upał wzmagał się coraz bardziej i uderzał o niski sufit sprężając powoli atmosferę nadającą się do oddychania, sprowadzając ją do wymiarów cienkiej warstewki, sięgającej do wysokości drzwi wychodzących na klatkę. Leżąc na ziemi przy łóżku, Andre wdychał głęboko niewiele chłodniejsze powietrze, którego niewyczuwalny ruch sprawiał, że kłęby kurzu uczepiały się pozatykanych szczelin w zniszczonym parkiecie. Kran, zwieszając się nad umywalką, wypuszczał z wyczerpaną miną strużkę wody na butelkę alkoholu, aby zapobiec samozapłonowi. Była to druga butelka, a zawartość pierwszej kipiała w trzewiach Andre wydobywając się przez pory pod postacią małych strumieni szarej pary.

Przywarłszy uchem do podłogi słyszał wyraźnie regularny odgłos zegara, więc przemieścił się tak, by znaleźć się nad nim w zenicie. Scyzorykiem o solidnym ostrzu starał się wydłubać w świerkowym drewnie, po stokroć wyszorowanym, otworek, który pozwoliłby mu go ujrzeć. Żyłki w drewnie, jaśniejsze i twardsze, opierały się stalowemu ostrzu, zaś przerwy między nimi, zmiękczone od szorowania szczotką ustępowały dość łatwo. Najpierw przecinał poprzecznie owe włókna, a potem, wbijając nóż zgodnie ze słojami drewna, wyłupywał naciskając na scyzoryk drzazgi długości zapałki.

W oślepiającym kadrze otwartego okna dało się słyszeć buczenie samolotu, zawieszzonego wysoko, jak błyszczący punkt umykający przed okiem na wpół przymkniętym wskutek migreny, nie mogący znieruchomieć. Nie było to bombardowanie. Działa pelotki, umieszczone na skraju najbliższego mostu, milczały.

Znów wziął nóż.

Gdyby było kolejne bombardowanie, być może adwokat znów pozostawiłby otwarte drzwi...

#### IV

Adwokat zawiązał rękawy i przez wycięcie w todzie podrapał się energicznie po piersi, co sprawiło, że dał się słyszeć odgłos, jakby ktoś szorował konia zgrzeblę, zawiesił biret na lśniącym łebku stojącej koło niego balustrady i rozpoczął swą mowę obrończą.

— Sędziowie przysięgli — powiedział — zostawmy na boku motyw zbrodni, okoliczności, w jakich została popełniona, jak również samą zbrodnię. W tych warunkach co moglibyście zarzucić mojemu klientowi?

Sędziowie przysięgli zafrapowani tą stroną problemu, której do tej pory nie brali *jeszcze* pod uwagę, zamilkli lekko zaniepokojeni. Sędzia spał, a prokurator zaprzedał się Niemcom.

— Przedstawmy ten problem inaczej — powiedział adwokat, uszczęśliwiony pierwszym sukcesem. — Jeśli pominie się ból rodziców ofiary, niewątpliwie pożałowania godny, przed którym ja również się pochylam, jeśli będzie się abstrahowało od konieczności, wobec której znalazł się mój klient, broniąc swego ciała — pozwólcie mi to dodać — zabijając dodatkowo dwóch policjantów mających go aresztować, wreszcie jeśli nie będzie się zważało na nic, cóż wtedy pozostanie?

— Nic — musiał przyznać jeden z przysięgłych, który był nauczycielem.

— Przyjąwszy powyższe, jeśli weźmiemy pod uwagę, że już od najmłodszych lat mój klient stykał się wyłącznie

z bandytami i mordercami, że przez całe życie miał przed oczyma przykłady życia rozwiązłego i niecnego, że sam oddał się temu stylowi życia i przyjął go jako absolutnie normalny, do tego stopnia, iż sam stał się rozpustnikiem, bandytą i mordercą, co możemy z tego wywnioskować?

Ława przysięgłych była mocno zmieszana wobec takiej elokwencji, a starzec z brodą ze skrajnej prawicy śledził pilnie upadek kropelek śliny na podłogę. Lecz nauczyciel ponownie poczuł się zmuszony odpowiedzieć: „Nic!” i natychmiast się zaczerwienił.

— O! Bynajmniej, panowie! — podjął adwokat z taką mocą, że aż na publiczność posypały się kawałki szkła. (Pożarł je rano.) — Możemy z tego wywnioskować, że znalazłszy się w szlachetnym środowisku, mój klient nabrałby szlachetnych obyczajów. *Asinus asinum fricat* powiada przysłowie, lecz nie dodaje, że rzecz przeciwna również może być prawdziwa.

Nauczyciel zastanawiał się przez pewien czas, co może być antonimem osła i ten wysiłek wyczerpał go do tego stopnia, że zrobił się całkiem miękki i zmarł na siedząco.

— Otóż — zakończył adwokat — wszystko, co wam tu przed chwilą powiedziałem, jest nieprawdą. Mój klient pochodzi z rodziny o jak najlepszej reputacji, otrzymał wyśmienite wykształcenie i celowo, z pełną świadomością zabił ofiarę, by skraść jej papierosy.

— Ma rację — zakrzyknęła ława przysięgłych jednym głosem i po krótkiej deliberacji zbrodniarz został skazany na śmierć.

Adwokat opuścił Pałac, wsiadł na rower, na którym miał powrócić do domu i czyniąc to, dołożył wszelkich starań, chcąc trafić dokładnie zadkiem na siodelko, tak aby wiatr wdzierając się pod jego obszerną togę od Piqueta, odślonił wszystkim oczom blask jego włochatych ud, zgodnie z wymogami mody. Pod spodem nosił grube reformy z czerwonego materiału i elastyczne podwiązki.

W pewnej odległości od domu zatrzymał się przed witryną antykwariusza. Holenderski zegar wystawiał na pokaz zauroczonym oczom złożoność skomplikowanego systemu cyferblatów, na których ukazywały się fazy księżyca w postaci kolejnych rogalików, rozkwitających splendorami czerni i złota na nowiu i przy pełni. Można tam było również wyczytać dni, miesiące, dni tygodnia i wiek konstruktora na rzeźbionym frontonie.

Klient, którego przed chwilą bronił, jako honorarium zapisał mu w testamencie całą swą fortunę. Wiedząc, że wkrótce będzie dziedziczył, ponieważ tamtego, dzięki jego wysiłkom, świeżo skazano na śmierć, uznał, iż roztropnie będzie uświęcił ten dzień zakupem zegara. Nie zabrał go ze sobą, ponieważ miał już swój zegarek, lecz powiedział, że po niego przyśle.

## V

Światło przesączało się przez małą, kwadratową dziurkę w podłodze i rozplaszczalo się leniwie na suficie Andre, tuż obok pająka. Pająk oskubał krawędzie plamy i powoli nadał jej kształt cyferblatu, później zaczął dorabiać cyfry i Andre zrozumiał, że piętro niżej rozmawiają o Nim.

Przystawił ucho do otworka, a światło weszło mu do ucha i oczywiście słyszał wyrazy rozbrzmiewające mu w uszach pod postacią świetlistych liter.

Adwokat gościł na kolacji przyjaciela.

— Sprzedam ten zegar — powiedział pokazując mu klatkę Kotwicy, której balans podskoczył, a potem ruszył swą zwyczajną drogą.

— Już nie chodzi? — zapytał przyjaciel.

— Jestem nim w pełni usatysfakcjonowany. Ale widziałem jeszcze piękniejszy! — rzekł adwokat wysącżając połowę swej szklanki wina, akurat tę pełną.

— Pij! — ciągnął dalej, nalewając ponownie i dając przykład.

— Jaki jest ten drugi? — zapytał przyjaciel.

— Pokazuje fazy księżyca! — rzekł adwokat. Później Andre nic już nie słyszał, bo mężczyźni przestali rozmawiać o zegarze.

Wstał. By nikogo nie obudzić nie zapalił światła. Blask wychodzący z podłogi znów usadowił się na lekko pochylonym suficie mansardy.

Pełny i absolutnie okrągły księżyc artylerzystów uzupełniał oświetlenie i poruszał się lekko, gdyż było coraz goręcej.

Kran nad umywalką ciekł jeszcze, prosto na butelkę alkoholu. Andre spoczywał na łóżku, a zegar wybijał w jego głowie wszystko, co tylko mógł. Czas przepływał wokół niego, lecz brak mu było kotwicy, by się w nim zatrzymać.

Nie było wiatru, nie było deszczu i pomimo wszelkich forteli Andre upał wzmagał się jak co wieczór i tak silnie naciskał z zewnątrz na szyby, że Andre widział, jak uwypuklają się ku niemu, nabrzmiewają, pękają jedna po drugiej i natychmiast się odtwarzają, jak mydlane bańki w wyszczerbionej czarce.

Kiedy pękała któraś z szyb, można było usłyszeć, słabo i tylko przez chwilę, dźwięki dochodzące z zewnątrz, kroki patrolu na brukowanej ulicy, stukot kocich grzechotek na sąsiednim dachu, szmer radiodbiorników za zasłonami zaciągniętymi w szeroko otwartych oknach. W dole, pochyliwszy się, można było rozróżnić jasne plamy koszuli dozorczy i sukienki dozorczyń, siedzących na dwóch starych krzesłach przed stróżówką, lecz trzeba było się śpieszyć, bo znowu się przekształcały.

Ciurkanie z kranu ucichło, potem znów powróciło, znak, że ktoś na dole nabierał wody. Metalowy siennik wydawał nieznaczny odgłos, zgodny z rytmem oddechu Andre.

Łóżko zaczęło drapać podłogę kocim sposobem, wyciągając łapy, potem unosząc je lekko, jedną po drugiej i kołysało się miarowym ruchem. Jeszcze jeden dzień, a parkiet będzie już całkiem zniszczony, bo łapy zagłębiały się weń coraz bardziej. By złagodzić efekt Andre wstał i wyciągnął się na ziemi, po uprzednim wsunięciu pod każdą nogę, korzystając z chwili gdy się podnosiła, starego buta. Łóżko też to natychmiast wykorzystało i zrobiło sobie spacer dookoła pokoju, a w jednym kącie zadarło nawet łapę. W butach było łatwo i miło maszerować.

Przyjaciel adwokata właśnie wyszedł i adwokat musiał opuścić jadalnię, bo światło na suficie znikło.

Bardzo cichutko było słyszeć dźwięki radia i dochodzący skądś modulowany, pięcionutowy sygnał zagłuszający BBC i nagle w niebie rozległo się niewyraźne buczenie. Przeleciał samolot, jak zwykle na tak wielkiej wysokości, iż nie można było zdać sobie sprawy z kierunku lotu.

Minuty nadal ginięły, gdyż Andre nie miał jeszcze Kotwicy; pot rosił mu szyję i uda na myśl, że zegar miał wkrótce stąd odejść.

Wtedy usłyszał rosnące w oddali wycie syren z sąsiedniej dzielnicy i kilka sekund później rozbrzmiała również skarga syreny z merostwa.

Pelotka jeszcze nie waliła, lecz dwa reflektory rozpostarły na niebie niewyraźne plamy, dwie gigantyczne, zdenerwowane mgławice.

Światłne pasy znaczyły teraz ramy okien o skrupulatnie zaciągniętych zasłonach, a budynki wypełniały się głuchymi odgłosami. Słysząc było krzyki gwałtownie przebudzonych dzieci, później kroki schodzące po schodach, nie kończące się, upadek do piwnicy dozorca, którego można było rozpoznać po użytym słownictwie. Drzwi adwokata nie otworzyły się. Na pewno spał zmorzony winem, którego zbyt dużą ilość wypił przy posiłku. Nagle wszędzie dookoła pogasły światła.

Andre, nadal leżący na podłodze, podczołgał się do okna i z lękiem czekał na pojawienie się samolotów i na huk bomby, który obudziłby adwokata.

Wstał, spróbował wypuścić wodę z kranu, którego dyskretnego kapania już nie słyszał, lecz wydobył z niego jedynie gardłowy gulgot. Dozorca zamknął licznik w piwnicy. Wypił jednak alkohol z butelki, który wirując przepłynął przez jego przewód pokarmowy z dziwnym warczeniem, które pod koniec przekształciło się w bulgotanie wanny, w chwili, gdy właśnie przestaje się opróżniać.

Humanitaryzm nakazywał mu ostrzec adwokata.

W ciemnościach, po omacku odebrał łóżku dwa buty, z trudem wsunął w nie stopy — żeby tego dokonać musiał stoczyć z łóżkiem walnę, a *żelazne* kółko rozdarło mu przegub na długości dziesięciu centymetrów. Ukradkiem wyciągnął od spodu dwie śruby i pokonane łóżko zawaliło się z chrzęstem martwego żelastwa.

Huk nie obudził adwokata. Trzeba było zejść na dół.

Wyszedł na klatkę schodową odruchowo zatrzasnąwszy drzwi za sobą i zdał sobie sprawę, że klucze musiały zostać w marynarce, na krześle. Upewnił się co do swego błędu przeszukawszy machinalnie kieszenie spodni. Miał tam tylko chusteczkę do nosa i scyzoryk.

Ostrożnie, starając się uniknąć skrzypnięcia drugiego stopnia, wszedł przywarłszy do ściany. Ciemniejsza dziura klatki schodowej, otchłań z której mogło wyskoczyć w każdej chwili jakieś nieznane okropieństwo, wypuszczała kłęby cuchnącego fetoru, kloaczne i rynsztokowe wyziewy. Po południu u dozorca gotowano dziką kapustę.

Dzwonek przy drzwiach adwokata znajdował się po lewej stronie, na wysokości metr dwadzieścia. Za pierwszym razem, bez macania, nacisnął obok.

Jego dłoń błędząc po framudze natrafiła wreszcie na gładką, mosiężną miseczkę. W jej centrum nacisnął elastyczną brodawkę, której dotyk przyprawił go o dreszcz.

Prąd był odcięty, lecz zostało go jeszcze dość w przewodach i być może wystarczyłoby to do obudzenia adwokata. Dla większej pewności kilka razy kopnął solidnie drzwi.

Nie domknięte przez zaetylowanego adwokata ustąpiły pod kopniakami i Andre wszedł w mrok.

Potknął się, przeszedł pod ścianę i dotarł do jadalni. Szeroko otwarte okno przepuszczało około pięćdziesięciu promieni księżycowych dużego kalibru, a zatrzymany mechanizm kotwiczny lśnił słabo za kryształową płytką.

Wtedy czas przestał wreszcie płynąć i Andre nie usłyszał adwokata wychodzącego ze swego pokoju, gdyż ten żył już w świecie starszym o jedną minutę.

Lecz on go dostrzegł w wielkiej oddali i aby pokonać ten dystans musiał rzucić nożem, a wtedy zobaczył jak bezwładne ciało adwokata umyka z krwawiącym gardłem, unoszone przez czas.

Koniec alarmu narzucił nocy swój fałszywie brzmiący akord. Nagle światła ponownie zapłonęły, a kotwica przestała istnieć.

## VI

Mrok klatki schodowej rozpraszał się w okolicy okien składających się z małych, różnokolorowych kwadracików, zatopionych w ołowiu.

Ciężkie i obolałe nogi wypchnęły go na ulicę. Dwa białe koty predefilowały przed nim wyskoczywszy z kosza na śmieci jak korek z butelki szampana.

Most był niedaleko, a gładka powierzchnia balustrady o wiele lepiej nadawała się do chodzenia niż łuskowaty asfalt chodnika.

Wtedy tuż za nim pojawiła się sylwetka Majora, rozwścieczonego faktem, iż nie ma o nim mowy w opowiadaniu i pochwyciła go za kołnierz. Z uniesionymi ramionami, wyciągniętymi rękami, zadarta głową, Andre gestykulował na wysokości kilku centymetrów nad balustradą krzycząc: „Puść mnie!” Lecz tylko on wiedział, że to Major go podniósł, gdyż ten właśnie stał się niewidzialny i, dla całej reszty świata, Andre zniknął w rzece.

## **Bajka na użytek osób w średnim wieku**

*„Rozdział pierwszy nie pochodzi ode mnie” Autor*

Był sobie książę piękny jak dzień. Żywot pędził pomiędzy psem a koniem, na skraju lasu, w zamku o murach szarych i dachu w kolorze malwy (dach był pokryty mchem i wydawał się zielony). Żył samotnie i owa samotność trapiła jego młode lata. Pewnej nocy, którą spędzał na włóczeniu się po parku, kiedy księżyc, jego słodki i uśmiechnięty towarzysz (a ja myślałem, że był sam) pieścił czułym spojrzeniem (wrzesień był wyśmienity) czubki wielkich drzew kołysanych ciepłą, balsamiczną bryzą (kurde! dobrze gada), zaczął myśleć, że życie pełne jest goryczy, jeśli brak w nim słodczy cukru. Wielkie i stosowne rozwiązanie podbiło jego serce: wyjechać (to tak jakby trochę umrzeć). Wyjechać na poszukiwanie tego cukru, tak cennego i tak rzadkiego (Huraa! Niech żyje czarny rynek). Nazajutrz o świcie, osiodławszy rumaka (Ja też lubię rum), a następnie dosiadłszy go opuścił to miejsce tak niegdyś kochane (nic nie jest wieczne, może za wyjątkiem pleksiglasu), a teraz znieawidzone z powodu braku cukru.

Cwałował przez góry i doliny, przez wiele długich i ciężkich dni. Przejechał przez mnóstwo nieznanych krain widząc dziwne stworzenia, poznając różne zwyczaje stanowiące podstawę moralności pospólstwa zamieszkującego kontynent.

Ponieważ padał deszcz, otworzył para (soi) i schronił się pod nim. Następnie deszcz nie spadł, lecz opadło go zmęczenie i był bardzo szczęśliwy i w świetnym humorze, gdyż napotkał ślimaka.

Wówczas, powiada Dede, zatrzymuje się w oberży i napotyka piękną księżniczkę, córkę króla Żakarda.

„Ale co ona u licha robi w tej oberży” — rzekł do siebie rycerz (nazywał się Józef): „Być może ma trochę cukru.” Dał znak dziewczynce i rzekł:

„Przez smoka mieszkającego w tym lesie, przez wino które wypijaś, przez wodę którą wypijesz, powiedz mi, przez krew mandragory, jakież to drogi powiodą mnie do cukru.”

Dziewczynka zaczerwieniła się, łypnęła białkami i umarła.

Wówczas rycerz, smutny jak za najpiękniejszych dni, dosiadł rumaka, który zawiódł go do dziwnego kraju...

## **Rozdział drugi**

Droga była biała, a słońce spiczaste. Każdy krok był dla Józefa cierpieniem jego rumaka. Nie minęły nawet trzy lata marszu, gdy pojawiła się przed nim chatka królików, gdzie płaśły elfy cicho szemrząc romans.

*Tam gdzie mnisi robią próbę Zadzierając habit swój*

*Pokaż mi jelito grube A ci powiem, żeś jest...*

Melancholijna i rzewna piosenka spodobała się Józefowi, który czmychnął galopem (rumakowi nie podobała się melodia).

## Rozdział trzeci

Nieciekawy.

## Rozdział czwarty

a. *A zatem, Józef cwałował a dżdże słotne z chmury posepnej zlewały mu lica. I hadki był wapor od ziemi wilgotnej ciągnący. Mnogość czasu cwałował tak, aż się pojawiło wnijsie do pieczary jakowejś...*

b. *„Ten denerwujący styl mógł przeszkodzić w zrozumieniu istotnej partii dzieła...”*

tak zaczynała się książka, którą Józef wyciągnął z olstra, szykując się do spożycia treściwego posiłku.

Była to książka kucharska doktora Pomiana. Wówczas Józef wziął łuk i ruszył na podwórko przylegające do pieczary, aby ustrzelić kurczaka.

Czarownica nie była zadowolona. Miała zeza i garb i co najmniej na stopę zwieszała jej się na brodę dolna warga. Co widząc Józef zabił ją i zjadł pospołu z kurczakiem, który był bardzo głodny.

Wtedy zaczął badać swą nową dziedzinę.

W pierwszej pieczarze stały trzy hebanowe kufry: w pierwszym znajdowała się brudna bielizna, w drugim — brudne naczynia, a w trzecim służąca. Józef zapędził służącą w kąt, a ponieważ był nieco zdenerwowany, dziewczyna przy tej okazji postradała stanik.

W drugiej pieczarze nie było ani jednego kufra, kurz pokrywał ziemię, co sprawiło, iż nie było widać zapadni, jaka się pod nią kryła, którą jednak Józef dzięki wskazówkom służącej, uzbrojony w urządzenie do usuwania kurzu, odkrył. Zresztą i tak nie dała się otworzyć, toteż nabił sobie miotłą guza, jako że rycerz potrafi posługiwać się mnóstwem broni, ale miotłą, dalipan, nie!

Jednak wspomagany przez rumaka, pracował trzy dni i trzy noce nad czymś w rodzaju wciągnika wyposażonego w mocny łańcuch. Wsadził hak w kółko do otwierania zapadni, oparł się o ścianę, ściana ustąpiła i Józef rozbił sobie pysk.

Lecz nie zniechęcał się, tylko przez kolejnych siedem dni i siedem nocy kopał wokół zapadni, zaś rumak przyglądał się lub spał, stosownie do pory dnia.

A kiedy Józef najmniej się tego spodziewał, kłapa ustąpiła z suchym trzaskiem i, o cudzie! nie była to żadna zapadnia, tylko kawałek podłogi, więc musiał wszystko znów doprowadzić do porządku.

W trzeciej *pieczarze* można było dostrzec świeczniki z białego *żelaza*, damasceńską harfę z Toledo, parę artystycznie wykonanych z brązu okularów, zaś szafa na bieliznę zawierała:

8 par prześcieradeł

3 serwetki „pszczele gniazdko”

17 ręczników

2 rękawice kąpielowe

3 pary majtek „fig”

i kilka przedmiotów mniejszej wagi, których nie wymienimy.

Nagle szczur przemknął między nogami rumaka, co sprawiło, że Józef przestraszył się i odkrył czwartą pieczarę.

Tyle że miał już po dziurki w nosie pieczar, więc wziął pikę i podziobał nią sklepienie

pieczary.

Źle obliczył czwarty cios, przy okazji którego kawałek skały wpadł mu do oka i natychmiast zamienił się w ogromną ropuchę, która rzekła:

„Józefie! Zdradziłeś!”

Józef nic nie zrozumiał, lecz pomyślał, że miejsce jest zaczarowane i zapalił szczyptę pyłku złocienia, by odegnać ropuchę.

Wówczas rozstąpiła się ziemia (na szczęście nie w miejscu, gdzie stał Józef) i wielkie, łuskowate stworzenie (Cecylia Sorel we własnej osobie) wylazło w chmurze kadzidlanego dymu.

Józef nie rozpoznał jej (była jeszcze bardzo młoda) i nie pokłonił się (kłaniamy się wyłącznie ludziom, których znamy. Pomian, strona 92).

Wróżka (bo to była ona) miała buty (jak wszyscy), sukienkę (jak wielu [kobiety]) i różdżkę (jak to czarodzieje i ci, co za takich chcą uchodzić).

Ona jednak powiedziała tylko jedno słowo (por. wojny Cesarstwa).

I Józef obudził się: był to bowiem tylko sen. Przed nim stała jedynie wróżka, pieczara i ropucha.

Wtedy wróżka wypowiedziała tę oto zagadkę:

*Na tonie Ozyrysa, w słońcu północnego lata*

*Spi siwy, wychudły pelikan marzyciel*

*A satyr wzruszony, ust cudnych właściciel*

*Tam goły lata!*

*Jeśli jednak odwaga ciągnie cię bez pardonu*

*Kop o kilka stąd kroków, tłucz okrutne kamienie*

*Przy pomocy motyki, co ma trzonek z jesionu*

*Skoro Merlin cię wspiera*

*Spełni się*

*Twe życzenie.*

(Nie powiedziała tego wierszem, ale tak jest lepiej.) I zniknęła w chmurze dymu z angielskich papierosów, zaś Józef zaczął się zastanawiać, czy mu się to nie śniło po raz drugi, lecz ponieważ uszczypnięcie sprawiło mu taki sam ból jak za pierwszym razem, stwierdził, że na pewno zaraz znów mu wpadnie ropucha do oka.

I nagle rozbrzmiała w powietrzu rozkoszna muzyka, rozbłysło niebiańskie światło i pojawiła się kolejna wróżka.

Tym razem była to prawdziwa wróżka. Miała lnianą suknię, przyozdobioną koronkowymi wstawkami, ogromną medyceuszowską kryzę, koronkowy żabot z muślinowymi plisami, brokatową spódnicę z wyściółką, rękawiczki z prawdziwej Irlandii upiękzone pajęczymi błyskami, cały kłęb świecidełek, w którym dała upust swej zręczności biegła w pracach igielnych, doświadczona pokojowa. Falbany spódnicy były wycięte ukośnie, zebrane w spory węzeł, który dawał im u podstawy pewną sztywność, a na dokładkę inkrustowane na różowo, tworząc wokół boskiego zjawiska coś w rodzaju mgiełki nieuchwytnych nitek, spod których wynurzały się złote trzewiczki, ozdobione wielkimi, diamentowymi klamrami.

Rycerz nie czytywał „Małego Echa Mody”, więc w ogóle tego wszystkiego nie zauważył. Powiedział jednak „dzień dobry!” i to czerwonym tonem, jako że nie brak mu było pewnej wrodzonej grzeczności.

— Dzień dobry, Józefie! — odrzekła wdzięcznie wróżka, która nazywała się Melania.

— Mam cukier! — dodała — po dwadzieścia sześć franków za kilo.

Józef pomyślał, że musi ona na tym od cholery zarabiać, lecz ponieważ bardzo chciał go trochę dostać wyciągnął ze swej sakiewki trzy tugriki i dał je wróżce.

Tugrik jest bardzo wygodną monetą przy rzeczach, które warte są dwadzieścia sześć franków, ponieważ jeden tugrik ma wartość jednego franka: toteż wszystko jest bardzo proste, wystarczy ich wziąć dwadzieścia sześć.



Wróżka dała mu siedem kilo, do których miał prawo i zniknęła zostawiając po sobie zapach posianej cykorii i soli posypanej na ogon.

Józef odczekał pięć minut, żeby sprawdzić, czy wróżka nie wróci, po czym wzięwszy swój cukier, poszedł ukryć go starannie w drugiej pieczarze, w miejscu gdzie żaden śmiertelny nie mógł go wyniuchać (jako śmiertelny powinien być nieufny).

Później zasnął snem sprawiedliwego oparłszy głowę o ostry blok skalny. Przez noc kropla wody, która jak krasnoludek przenikała w ciemnościach poprzez granitowe warstwy tworzące sklepienie pieczary, zdołała wreszcie wydrążyć dostateczną dziurę i paść prosto na jabłko Adama Józefa przez co go ogarnęła natychmiast piorunująca amnezja.

Pomimo swego naturalnego agnostycyzmu (sic) był zmuszony przyznać się do rzeczy oczywistej: nie pamiętał nic a nic.

Dlatego również zapomniał się ubrać i od tej pory będziemy zmuszeni opowiadać wam o nagim człowieku, zwłaszcza że przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, a ubieranie się jest tylko przyzwyczajeniem (należałoby również podkreślić rolę pamięci z punktu widzenia przyzwyczajenia, jako że nie może być ona wiązana całkowicie — tak jak czyni to Kant — z prądami wyładowań nerwowych w jednostce).

Jednak, ponieważ istnieje coś takiego jak łaska, Józef nie zapomniał dać swemu wiernemu rumakowi porannego jogurtu i rozmontował swoją depsydrę tak, że aż wyskoczyła z niej sprężyna.

Wtedy, wróciwszy do czwartej pieczary, dostrzegł na ścianie wypisaną ognistymi literami dziwną zagadkę, wymyśloną przez pierwszą wróżkę. A jego pracowite przyzwyczajenia wzięły górę, toteż włożył dół i poszedł na małą przechadzkę do piątej pieczary.

## Rozdział piąty

Uwaga: ten fragment jest poetycki

*Jeszcze nie przekroczył jej progu. A ona czekała tam pusta, jakby wypełniona nocą, z dochodzącym z otchłani, jakby odgłosem pocałunków, szmerem źródełka, które biło skrycie, by zagubić się pośród piasków.*

Tylko jeden promień, przybyły nie wiadomo skąd spływał ze sklepienia ku małemu świetlistemu krążkowi, gdzie można było odczytać dość szczególne hieroglify. Były to cyfry, a Józef je przeczytał:

6 2

©

2 9 7

2

2 3.6 4.1

1.2,3 5.2,4,5

6.6

Józef pojął to równie szybko jak gdyby mu powiedziano: „podłoga w pieczarze”. W gruncie rzeczy znał zagadkę na pamięć, zważywszy, że patrzył na nią rankiem, mając pusty mózg człowieka cierpiącego na amnezję, dokąd bardzo chciały wskoczyć nowe rzeczy. I to miało znaczyć tyle, że wystarczy patrzeć, aby widzieć.

Wziął więc motykę o trzonku bukowym i oczywiście nic nie znalazł. Od buku narobił sobie tylko bąbli, gdyż jest to drewno czyniące zło i wzięwszy scyzoryk poszedł ściąć jesion. Wykonał mały trzonek, elegancki i mocny, w którym gracja przestrzenna łączyła się z solidnością w najlepszym gatunku. Przymocował go do żelaza motyki, a ono po kilku grymasach raczyło się trzymać, i zaczął kopać.

Od pierwszego uderzenia podłoga w pieczarze rozprysła się w drobny mak, a Józef wpadł głową naprzód w studnię zielonego cienia, w której nie było widać dna. Miał fart, bo w cieniu

można oddychać: w wodzie mógłby się obąblować.

W owym mroku pływały dziwne, pierzaste stwory robiące „kot, kot, kodak!” Józef nie wiedział, co to może być, bo było ciemno, lecz wydaje się, że gdyby było jasno, to okazałoby się zapewne, że to kury.

Potem spadał dalej. Po roku pomyślał sobie, że dość już tego i stanął. O cudzie! Jego wierny rumak był tam i patrzył na niego swymi prostodusznymi oczami. Należy powiedzieć, że mrok zniknął i widać było wyraźnie, a jeźowce jak okiem sięgnąć nie zajmowały się swoimi sprawami.

Rycerz stwierdził wówczas, że znajduje się w ogrodach miejskich, w mieście Króla Błękitnych Księżyców, za morzami i górami, w kraju gdzie nikt nie umiera przed osiągnięciem osiemnastego roku życia.

Ponieważ dłużej niż zwykle przeglądał się w fontannie, dostrzegł na wprost swej twarzy, lśniący na fali, zachwycający obraz. Najmłodsza córka króla właśnie umyła sobie ręce po zjedzeniu homara; woniejące to danie. Zdegustowany Józef poszedł przeglądać się gdzie indziej, co nie przeszkodziło księżniczce zaprosić go na wieczór, na kolację. Najpierw nie śmiał się zgodzić (nadal był całkiem goły), lecz ona szybko poprawiła mu humor także się rozbierając i pozwalając mu na smyranie jej po pępku.

Wieczorem Józef przeprowadził toaletę, to znaczy że przy pomocy wiadra wody i grzebienia rozdzielił swe włosy na dwie równe części, jedną spuścił na prawe ucho, drugą na lewe i tak odziany udał się na festyn (tym razem nie wykorzystał wiadra wody, lecz rumak był bardzo zadowolony mogąc ją wypić).

Po drodze napotkał staruszkę, która rzekła do niego grobowym głosem: „Józefie, nie idź na festyn.”

Józef zaśmiał się i przeszedł mimo.

Po stu krokach jeszcze starsza od poprzedniej staruszka rzekła do niego: „Józefie! Nie idź na festyn” tonem *jeszcze* bardziej grobowym.

— Dlaczego, babciu? — zapytał Józef.

— Księżniczka, gdy tylko ujrzałaś ją nagą, poprzysięgła ci śmierć i wszystko, co ci tam podadzą, będzie zatrute.

Józef pomyślał: „w gruncie rzeczy to ona jest fatalnie niezgrabna”, lecz jako dobrze wychowany młodzieniec zachował tę opinię dla siebie i zadowolił się obcięciem gałązki leszczyny z żywopłotu ciągnącego się wzdłuż drogi. Potem ruszył dalej.

Przejeżdżała jakaś karetka, więc wskoczył do niej i znalazł się u boku pięknej damy, odzianej w suknię ze złotogłowiu, w której rozpoznał jedną z owych panien nie do towarzystwa, nawiedzających najpodlejsze dzielnice miast.

— Jedzie pani na festyn? — zapytał Józef.

— No — odparła macając go po udzie, by sprawdzić czy ptaszek jest taki jak klatka.

— A zatem usiądźmy obok siebie — rzekł Józef pełen galanterii. Potem już nie powiedział ani słowa aż do przyjazdu na miejsce.

U wejścia do pałacu stał lokaj w skórzanych spodenkach. Otworzył drzwiczki karety i pomógł Józefowi i jego towarzysze zejść, używając w tym celu składanego stopnia, podstawionego pod wehikuł dzięki jego staraniom.

Nadjeżdżała kolejna karoca.

— Wio — krzyknął stangret. I karetka stanęła. Wsiadł z niej Bartolomeusz z żoną, lichwiarz, dobrze znany Józefowi, który bardzo go lubił za jego swadę i cięty język.

— Jak się masz, stary wiechciu — powiedział Bartolomeusz.

— Nieźle — odrzekł Józef smutno. — Gdybyż tylko zdrowie pozostawiało do życzenia!

— Ha! ha! — zaśmiał się Bartolomeusz obrażony tą błyskotliwą formułką. Nic nie dodał i, prawdę mówiąc, to całkowicie wystarczyło dla odmalowania sytuacji.

Weszli i podeptali dywany z grubej wełny, które świeżo skoszono i teraz wydzielaly rozkoszny zapach siana

Król siedział w cieniu perełkowca japońskiego (*sophora japonica*) i wachlował się workiem kulek. Tuż obok niewolnik spał snem sprawiedliwego. Łagodna bryza owiewała salę, a to dzięki otworom sprytnie wykonanym w dachu, prawdę mówiąc składał się on tylko z belek zważywszy na cenę odachowania kompletnego.

Na widok gości król zerwał się na równe nogi i czmychnął, bo był bardzo nieśmiały. Co widząc Józef zapytał Bartolomeusza:

— Dlaczego on sobie poszedł?

— Bo już go tu nie ma — odrzekł Bartolomeusz i parsknął śmiechem z tego dowcipu, naprawdę wesołego i zgrabnie skonstruowanego.

Józef także się zaśmiał i pomyślał, że Bartolomeusz to ma szczęście, że jest taki zabawny, że on, Józef, też by tak chciał, po czym pocieszył się stwierdziwszy, że on, Józef, ma tę przewagę iż pochodzi ze szlacheckiego rodu, zaś Bartolomeusz jest tylko lichwiarzem, co na dworze jest gorzej widziane.

Tymczasem powrócił król, wyposażony w czarne okulary, aby nikt nie mógł go rozpoznać.

Wówczas rozpoczął się festyn.

Józef siedział pomiędzy Bartolomeuszem, a swoją towarzyszką z pojazdu. (Czy mówiłem, że nazywała się Koń?)

Koń, bardzo dowcipna, oczywiście piła mnóstwo, żeby być jeszcze bardziej dowcipna. Siedząc między dwiema tak zabawnymi osobami, Józef czuł się jak idiota, co pozwoliło mu na zaryzykowanie kilku dowcipów, pomyślał bowiem, że tamci nie uczynią go odpowiedzialnym za znikomą ich wartość.

Toteż schował kość z baraniego udźca pod sukienkę Konia i dziewięciokrotnie opróżnił swój kieliszek do lewej kieszeni Bartolomeusza, który tego nawet nie zauważył.

Przy *deserze* Koń była już lekko przypruta. Wzięła Józefa na kolana i łaskotała go po szyi loczkami, że aż zaczął błagać o litość i zdzielił ją solidnie pięścią w nos. Nie poczuła się dotknięta z powodu takiego drobiazgu i zapewniała go, iż po raz pierwszy w życiu ma do czynienia z człowiekiem, z którym się tak miło konwersuje.

Wreszcie Bartolomeusz wciął się między wódkę a zakąskę. W tym samym momencie król widząc dwa wchodzące koty zawołał „Psik, kiciusie”, zaś Bartolomeusz pomyślał, że to było do niego, bardzo się obraził i pił tak, aż się urząnął.

Wtedy wyciągnął z kieszeni magiczną pałeczkę, którą jakiś czarnoksiężnik wsadził mu do kaszki i zaczął robić sztuczki.

Było to pożałowania godne. W ogóle nie umiał się nią posługiwać. Zaczął od tego, że spadł deszcz żab prosto do talerza Konia, która krzyknęła i zemdląła (dobry pretekst, żeby Józef ją pomacał). Potem zamienił niewolnika w dynię, za co opieprzył go król, toteż spróbował go odmienić w drugą stronę, lecz w rezultacie wyszło z tego cielątko, król zaś miał ich już dziewięć, więc Bartolomeusz był zmuszony je odkupić za ciężkie pieniądze.

Potem chciał odmłodzić swoją żonę, lecz przesadził i zrobiła mu siusiu na kolana oraz zwróciła kaszkę, bo takie małe dziecko nie może tyle jeść. Wtedy Bartolomeusz rozwiódł się i odszedł z Józefem. Rumak czekał pod drzwiami. Wskoczyli na jego grzbiet i ruszyli w świat na poszukiwanie cukru.

Nie ujechali nawet trzydziestu centymetrów, gdy pojawiła się córka króla z trucizną w kieliszku i podała ją Józefowi mówiąc dla żartu: „Wypij, to trucizna!” Józef powiedział „dziękuję!” i wypił (liczył na różdżkę Bartolomeusza). Bartolomeusz zdzielił solidnie księżniczkę różdżką w głowę, nabił jej guza i było po sprawie.

Potem reanimował Józefa. Raz przynajmniej się nie pomylił, lecz na nieszczęście Józef nagle przypomniał sobie wszystko i zdał sobie sprawę, że jest całkiem nagi i bardzo się zawstydził. Lecz przypomniał sobie również o cukrze ukrytym w pieczarze i powiedział o tym Bartolomeuszowi.

— Siedem kilo! — zawołał Bartolomeusz. — Odkupię je od ciebie po 26,50 F.

— Grabula! — rzekł Józef zachwycony tak wspaniałym interesem. — Dawaj pieniądze.

Później, pomyślawszy, że nie ma już wcale cukru, postanowił znaleźć sobie nowy.

— Posłuchaj — rzekł do Bartolomeusza — teraz ty masz cukier. Mnie jest on potrzebny. Chodź ze mną, znajdziemy go dla mnie, a potem ja ci wskażę, gdzie jest twój.

— Grabuła! — zawołał Bartolomeusz, który — chociaż lichwiarz — był w końcu bliźnim. — Ruszajmy.

Ruszyli. A to było daleko. Potrzebowali dwóch tygodni. Kiedy już się tam znaleźli, oczywiście nie było żadnego cukru, tylko stary, paskudny smok, który cuchnął i pluł dookoła płomieniami o zupełnie postrzępionych brzegach.

— Gasimy go? — zapytał Bartolomeusz.

— Grabuła! — zawołał Józef i obaj szybko go zgasili (należy stwierdzić, że spadł ulewny deszcz, ale nie mam pojęcia, czy ten świntuch Bartolomeusz coś nie pokombinował swoją magiczną pałeczką).

Tyle że nadal nie było cukru, tylko zgaszony smok, a coś takiego nie jest nawet warte ciężaru płomieni. Zrobili łuskową kolczugę dla Józefa, który tym sposobem skrył się przed ukłuciami komarów i ruszyli w dalszą drogę, radośni jak strażacy po pożarze.

Wędrując Bartolomeusz opowiadał Józefowi dla rozweselenia różne ucieszne opowiadki. Józef wcale tego nie potrzebował, i tak śmiał się do rozpuku i tak go rozděło, że dla wyleczenia się musiał nawarzyć bulionu z ziółek, ale ponieważ nie wiedzieli dokąd zmierzają, nie opóźniło ich to wcale.

Trzeciego miesiąca podróży ujrzeli na niebie jakieś dziwne znaki, zaś na drodze pojawiła się mała chatka na kurzej stopce, która wirowała aż do utraty tchu.

— Babuła! — zawołał Bartolomeusz wypowiadając zaklęcie, ponieważ znał grypsere czarnoksiężników (a nawet gwarę haenlowską).

— Grabuła? Dlaczego? — zapytał Józef. — Wystarczy, mówiliśmy to już trzy razy.

— Aleś ty głupi! — powiedział Bartolomeusz i zaśmiał się.

— Dobra! — rzekł Józef i też się zaśmiał.

A jednak chatka zatrzymała się. Wylazła z niej stonoga i Baba-Jaga. Stonodze trochę kręciło się w głowie, ale Baba-Jaga była przyzwyczajona.

Wy tłumaczyła im, że aby nie zakręciło się w głowie wystarczy kręcić się bardzo szybko w przeciwnym kierunku i dzięki temu nic się nie czuje. Kłopot był tylko, jeśli się chciało spać lub pić mleko, bo piło się masło, a to niełatwa sprawa.

— Doskonale — powiedział Józef. — Przejdźmy do działania.

Wtedy Bartolomeusz zapytał Babę-Jagę.

— Masz cukier?

— Nie — odparła — a gdybym nawet miała i tak bym wam nie dała.

— Ach! Ach! — powiedział Bartolomeusz. Wtedy zabił ją, a w chatce było dwieście gram cukru. „Warto było!” — powiedział Bartolomeusz do Józefa. „Tak!” — odparł Józef szlochając. I obaj odeszli. A ponieważ mieli dobre serce, zostawili cukier stonodze.

Niestety stonoga cierpiała na cukrzycę. Lecz w końcu dobre intencje więcej są warte od złotego pasa, a Józef i Bartolomeusz kontynuowali swą podróż.

Pewnego wieczora przemierzali gęsty las, gdy nagle pojawił się przed nimi ohydny troll, który patrzył na nich złośliwie. W ręce trzymał srogą maczugę i był odziany w skóry z leśnych bożych krówek. Na jego widok Gedeon, rumak, zadrżał na całym ciele i zrzucając z siodła Józefa i Bartolomeusza ruszył galopem i utopił się w asfaltowym jeziorze. (Powrócił nazajutrz, opił się asfaltu i był zachwycony swoją eskapadą.)

Wtedy troll wskoczył na dwóch kompanów i kopiąc ich w tyłek srogimi, trollowymi bucioremami, zapędził do mrocznego podziemia.

Trolle kręciły się po wszystkich kątach. Nie było takiego, który nie nosiłby na twarzy stygmatów zaawansowanego zwyrodnienia (tak powiedział Bartolomeusz, a Józef przytaknął niezbyt rozumiejąc).

Przy pomocy silnych ciosów maczugą w łeb zaprowadził ich do mrocznego schowka i

przykuł do ściany starymi łańcuchami od drezyny.

Po upływie dwóch lat Józef zaczął odczuwać głód (od tygodnia troll już ich nie karmił) i powiedział do Bartolomeusza: „A gdybyśmy tak uciekli?”

— Świetna myśl! — zawołał Bartolomeusz. — Lecz mogłeś pomyśleć o tym tydzień temu, kiedy zaczęliśmy być głodni.

— Głód uświęca środki — odrzekł Józef, dumny, że chociaż raz się znalazł. Lecz Bartolomeusz nie zaśmiał się i powiedział: „Przeczytałeś to w Vermont z 1643.” Józef zaczerwienił się, choć przecież sam to wymyślił.

Wówczas uzbrojeni w haczyk do wciągania wysokich butów, który w trakcie przeszukania umknął uwadze ich strażnika, zaczęli wydłubywać kamień ze ściany, ot tak, żeby zobaczyć co z tego wyniknie.

Było to trudne zadanie, bo ściana składała się z jednego kawałka! Wreszcie udało im się i wśliznęli się do mrocznej kieszki ciągnącej się przez całe więzienie.

Oszalawszy z radości zaczęli tańczyć i śpiewać czyniąc piekielny jazgot. Trolle natychmiast rzuciły się na nich i zamknęły w innym lochu.

Dopiero teraz stali się posiadaczami myśli przewodniej i wiary co góry przenosi. Tym razem nie był im potrzebny aż cały tydzień, by znów pomyśleć o ucieczce. Uzbrojeni w drugi haczyk do wciągania wysokich butów (należący do Bartolomeusza) rozpoczęli dzieło, a ich wysiłki zostały uwieńczone sukcesem.

Nie zrobili najmniejszego hałasu, lecz w ciszy podążyli wzdłuż murów, pokonując jedenaście kilometrów. Przebywszy tę drogę usłyszeli głośnie rzenie i ujrzeli swego rumaka przykutego do skały w małej *pieczarze*, gdzie dwunastu trolli tuczyło go gumowymi kulkami. Bartolomeusz jęty szalem pochwyił but Józefa (ten ostatni padł natychmiast) i cisnął nim w przerażone trolle, które rozpierzchły się po mrocznych kątach.

Wsiadłszy na rumaka przemknęli przez podziemia. Sto metrów dalej obaj byli prawie ogłuszeni, gdyż w nisko sklepionych korytarzach rumak skakał jak kózka. Niemniej jednak udało im się w pędzie pochwyić przechadzającą się trollicę i znów, jakby zrządzeniem losu, córkę króla.

— Załadamy okupu — powiedział Bartolomeusz, przypomniawszy sobie nagle o swoim starym, lichwiarskim zawodzie.

— Grabuła! — zawołał Józef (zaczął przesadzać z tym zwrotem, na co rumak zwrócił mu uwagę).

— A może byśmy się nią zajęli? — dodał Józef, któremu do głowy przyszły lekkie myśli.

Bartolomeusz nie wykazał entuzjazmu. Podczas skoków rumaka zarobił o wiele więcej guzów niż Józef i czuł się nieco wypłuty. A poza tym trollica była naprawdę paskudna.

— HouynHouynHouyn! — zawołał nagle rumak. Dyskretni Józef i Bartolomeusz pozostawili go z nią sam na sam przez kilka chwil. Kiedy wrócili ona była nieco potargana, a rumak wyglądał na zmęczonego.

Zawiózł ich jednak aż do królewskiego pałacu, który na szczęście wznosił się nie dalej niż o sto kilometrów. Był bardzo piękny. Wisały tam girlandy frankfurckich parówek wydzielające przyjemne zapachy, a na fajansowych talerzach leżały nenufary. Król biegał dookoła poszukując swego hula-hop. Mali niewolnicy, świętecznie odziani, dmuchali w szklane lampy naśladując szmer wiatru wśród drzew, tak żeby nie było widać murów podziemia. Złudzenie było całkowite.

Wobec parówek rumak stanął i odmówił uczynienia kroku naprzód. Bartolomeusz zrozumiał owo wahanie i postanowił pokonać resztę drogi pieszo.

Widząc wchodzącą córkę, król skoczył ku niej i zapytał: „Gdzie moje hula-hop?”

— Zaraz! — zawołał Józef. — Najpierw okup!

— Co? — rzekł król. — Ile? (był z ojca Amerykanina i matki trollicy, toteż znał wartość słów).

— Dwieście gramów cukru — powiedział Józef. Ale Bartolomeusz dodał:

— Dwieście gramów dla każdego!  
— Razem czterysta! — rzekł król.  
— Skąd! Sześćset! A rumak? — ciągnął Bartolomeusz rozzuchwalony pierwszym sukcesem.  
— Dobra! Macie tu czek na sześćset gramów! — powiedział król. — Pierwsze drzwi na lewo. A gdybyście widzieli moje hula-hop...  
Józef i Bartolomeusz poszli po cukier i wrócili do rumaka. Ten spałaszował wszystkie parówki.  
— Za parówki — powiedział król — należy się sześćset gramów.  
— Cukru? — zapytał Józef.  
— Pewnie! — odparł król.  
— Słusznie — dodał Bartolomeusz. I powiedział jeszcze: „Takiego paskudnego cukru wcale mi nie żal.”  
— Pewnie, że nie — zawołał król. — Oddawaj!  
A Józef, który kochał dokładność, kazał przynieść wagę i zważył cukier. Okazało się, że brakuje pięćdziesiąt gramów.  
— Jesteście mi je winni! — rzekł król. — Wypiszcie mi weksel.  
— Dobra! — powiedział Bartolomeusz. A król śmiał się bardzo, lecz zatrzymał weksel.  
Wtedy Bartolomeusz, Józef i rumak opuścili królestwo trolli. Wyjeżdżając musieli jeszcze zapłacić myto z zamianą na dwa lata i jedenaście dni więzienia i Józefowi zostało już niewiele tugrików.  
Na równinie, o tysiąc mil od tego miejsca ujrzeli człowieka, który strzelał do skowronków. Ptaków nie było widać, tamten strzelał i za każdym razem jeden skowronek padał u jego stóp.  
— Jak on to robi? — zapytał rumak, który zaczął już dochodzić do siebie.  
— Pojęcia nie mam! — odrzekł Józef.  
— Zapytamy go? — powiedział Bartolomeusz. I zapytał.  
— Durniu! — odrzekł mężczyzna. — Nabijam strzelbę skowronkami.  
— I nazywa się pan Krzysztof Kolumb? Bez wątpienia! — powiedział Józef.  
— Właśnie! — odparł mężczyzna. — Jesteście bandą idiotów.  
Pozdrowił ich w sposób niezwykle uprzejmy i zniknął w lesie. Józef i pozostali dalej podążali drogą i znaleźli się nagle przed wielką równiną słonej wody targanej spazmatycznymi skurczami.  
„To na pewno morze!” — pomyślał rumak, który już o czymś takim słyszał. Lecz zachował tę opinię dla siebie.  
— To morze! — zawołał Józef, który był mniej dyskretny.  
— A może by je tak odparować! — rzekł Bartolomeusz. — Mielibyśmy sól wartą tyle co cukier.  
— Kwestia smaku! — stwierdził Józef. — Jestem twego zdania! Tak czy inaczej można ją sprzedać jako cukier.  
I w ciągu tygodnia zgromadzili dość soli, by ugotować zupę jarzynową. Wtedy z zadowoleniem zjedli ją i ruszyli w dalszą drogę.  
Trzeciego dnia napotkali staruszkę tak starą, że miała specjalne rusztowanie, żeby jej się broda nie ciągnęła po piasku, co jest szczególnie charakterystyczne dla zaawansowanego wieku.  
— Dzień dobry, młodzieniaszkowie! — powiedziała. — Chcecie soli! — I pokazała im wielki wór soli.  
— Zamienimy się na cukier! — rzekł ten łajdak Bartolomeusz. — I dał jej swój worek soli: lecz został zrobiony na szaro, bo w worku staruchy było dziesięć kilo cukru. Stara była taką samą kanalią jak oni. Zdziwili się jednak, że przyjęła cukier, skoro go już tyle miała, stwierdzili, że jej cukier jest zatruty (było to oczywiste) i wrzucili go do wielkiej dziury. Dobiegł stamtąd przeraźliwy ryk i wyszedł skarabeusz z potrzaskaną łapą.  
— Ach żesz wy bando dardanelskich cymbałów! — zawołał skarabeusz. — Spadło mi to na

łeb i boli jak jasna cholera!

Bartolomeusz w pełen szacunku sposób zwrócił mu uwagę, że to łapa go boli, za co otrzymał pokrywą skrzydła cios, który powaliłby wolu.

— Bez obrazy! — zawołał natychmiast masując sobie żebra (w trudnych chwilach gwałtownie objawiało się jego plebejskie pochodzenie, co odbijało się w sposobie wyrażania).

— Nie — dodał Józef — nie zrobiliśmy tego specjalnie.

— Mowa! Mogliście zrobić specjalnie i pieprznąć to gdzie indziej — ciągnął skarabeusz, który był w zdecydowanie marnym humorze. Jednak kilka minut później zaprosił ich do swej siedziby na szklaneczkę porto.

Rumak powiedział, że wolałby solidną miarkę asfaltu, lecz Józef rzekł mu na ucho, iż nie jest to praktykowane, toteż rumak dodał, że z pewnością mówiąc to miał co innego na myśli, bo madera jest rzeczą wyśmienitą.

— Ty osiole! — zawołał skarabeusz. — To żadna madera, tylko malaga!

Jednak zabrał ich ze sobą i dał każdemu po ciastku tak suchym, że ani ten, ani tamten, ani tamten (było ich trzech) nie mógł go przełknąć.

— Dobry był ten mój muskat, co? — zapytał skarabeusz rżąc z uciechy.

— Wyśmienity! — zawołał Bartolomeusz. — Poczęstuję was moim koniakiem. Odwróćcie się.

I wtedy wymierzył każdemu takiego glana w rzyć, że skarabeuszowe pośladki przybrały barwę świeżo dojrzałej wiśni.

— Niezły! — powiedział. — Ale brakuje mu oleju! Józef zaczął myśleć, że skarabeusz jest odrobinę ekscentryczny, więc też się do tego dołożył.

— Chcesz być?

I wyprowadził w kierunku jego szczęki straszny cios. Tyle że trafił w szafę i złamał sobie dwa palce.

— Odrobinę porto? — zapytał skarabeusz grzecznie.

— To najlepszy środek na odmrożenia.

I Józef pochłoniął kolejne ciastko, równie suche jak poprzednie. Nie miał śmiałości odmówić, bo zaczął bać się szafy.

Wtedy skarabeusz zrobił kilka kroków po pomieszczeniu i powiedział:

— Zatańczymy sobie!

Nadepnął na klepkę w podłodze i rozległ się przeraźliwy trzask.

— Ty — powiedział do rumaka — będziesz naciskał. Ty — powiedział do Józefa — będziesz się przyglądał. Ty

— powiedział do Bartolomeusza — też będziesz się przyglądał. I ja się będę przyglądał.

Było to bardzo zabawne, lecz jak zauważył rumak, któż miał tańczyć?

— Śmondaku! — zawołał skarabeusz. — Naciskaj, niczego więcej od ciebie nie oczekujemy.

Wtedy rozległo się głośnie stukanie do drzwi.

— Idź otworzyć — powiedział Józef do Bartolomeusza.

Ten wykonał posłuszenie i do pomieszczenia weszła stara facjata.

— Dzień dobry! — powiedział grzecznie Bartolomeusz.

Facjata nic nie odrzekła.

(— Jest głucha od urodzenia — szepnął skarabeusz. — Nakłonimy ją do tańca, będzie ubaw po pachy.)

Robił się naprawdę ordynarny. Józef, Bartolomeusz i rumak oddalili się pod pretekstem gwałtownego bólu głowy, a skarabeusz życzył im pomyślności.

Nagle, na zakręcie drogi, napotkali Azora. Był to stary, bezzębny kot, którego Józef niegdyś poznał. Miał mocno wyładowany tornister i śpiewał na całe gardło jakąś zawadiacką piosnkę.

— Hej! — zawołał rumak. — Jak tam romanse?!

— Wszystko gra — rzekł Azor. — Chcesz być?

— Nie, dzięki — odparł rumak przypomniawszy sobie Józefa. — Ukrzywdzisz sobie

paluszki.

— Ach? — zdziwił się Azor.

I opuścił ich z zatroskaną miną. Trzeba powiedzieć, że w tornistrze miał być w ilości jedenastu kilogramów. Przechodząc przez mały mostek został porwany do nieba w chmurze kadzidlanego dymu.

Józef i Bartolomeusz postanowili wówczas zbudować barcę.

— Co takiego? — zdziwił się rumak, który nie miał marynarskiego obycia.

— Barcę. By by i ar kę — przeliterował Bartolomeusz.

— A! To świetnie! — zawołał rumak, który nie chciał wyjść na głupca. — Ale gdzie ją postawicie?

— Na wodę — odrzekł Bartolomeusz.

— Ach! To to pływa?

Józef, który miał tego dość, wymierzył mu solidną pucę między uszy i rumak zarżał z ukontentowania.

Wtedy Bartolomeusz zaczął ścinać drzewa. Jednak Józef sformułował myśl, iż można by ją wykonać z metalu.

— A ty masz żelazo? — zapytał Bartolomeusz.

— Ja nie mówiłem „z żelaza”. Powiedziałem: „z metalu”.

— Dobra! — rzekł Bartolomeusz. — Przepraszam. I poszedł ścinać drzewo.

— To? — zapytał Józefa.

— Tak! — zawołał Józef. — Sam widzisz: pływa.

— Czy to jest barka? — ryknął rumak.

— Tak jest! — zarechotał Bartolomeusz.

I spuścił mu drzewo prosto na czaszkę. Rumak powiedział... Uf! i potem już nic nie mówił. Lecz głowa zrobiła mu się dwukrotnie większa. Wtedy nagle pojął, co to takiego barka.

— Nie lubię wody! — zawołał.

— Wolisz być? — zapytał Bartolomeusz groźnym tonem.

— Ach! Daj spokój — powiedział Józef. — Nie rób mu krzywdy, i tak ma łeb jak baszta w Niżnym Nowogrodzie.

Jednak w zasadzie barka była prawie skończona. Brakowało jej tylko kadłuba, pokładu i masztów, lecz żagle były zrobione z koszuli Józefa.

Po tygodniu pływała po wodach małego basenu, który wykopał Józef.

— Wszyscy na pokład! — krzyknął rumak, który tymczasem nabrał cech prawdziwego rumaka morskiego. Splunął prymką i wdrapał się na pokład. — Wybrać cumę! Wyostrzać! Wszyscy na spardekowiec!

— Ależ na drewnianego Boga! Kto cię tego nauczył, świński cycku? — zawołał Józef.

— Zna się tę literaturę — odrzekł rumak. — Zawsze tak się gada będąc marynarzem.

— Ale to nie ma nic do rzeczy — stwierdził wówczas Bartolomeusz. — Dorobi się koła, tak będzie bezpieczniej, a poza tym nie zejdziemy ze stałego ładu.

— A niech to! — stęknął rumak. I nic już nie dodał.

— Oczywiście ty będziesz ciągnął — rzekł Bartolomeusz.

— Pasuje! — powiedział Józef. — To dobry pomysł. Przejechali osiem kilometrów. Dotarli wreszcie nad

Morze Zielone, w którym pływało mnóstwo pijawek.

— Ściągamy koła? — zapytał rumak. — Cierpię na chorobę ziemną.

— Wreszcie!... — zawołał Józef. — Tym razem zgoda! Wtedy rumak ponownie włożył swoją marynarską

czapkę i zaczął przemierzać mostek kołyszącym się krokiem.

— Nie tak szybko! — powiedział. — Weź oczko żaglowe z marszągła, z foka, z bramsla i mocno naciągnij węzły na prawej bakburcie.

Józef usłuchał i wynikła z tego wyraźna poprawa szybkości barki. Statki są takie kapryśne...



On i Bartolomeusz zaczęli patrzeć z podziwem na żeglarską wiedzę rumaka, mimo że śmierdział tytoniem do zucia tak, że mógłby się od tego pohaftować nawet galernik. Dwa tygodnie później zaczęli być głodni. Józef przygotował wędkę z mosiężnego drutu i w dziesięć minut złowili sześć tuzinów pijawek.

— Żremy je! Czy one nas? — zapytał rumak w sposób lapidarny lecz zrozumiały.

— Zobaczmy! — powiedział Bartolomeusz z niejaką obawą.

I rzeczywiście, przez cztery godziny walczyli z pijawkami i każdy stracił litr krwi, nim udało im się zepchnąć je do wody.

— Dość żartów! — zawołał rumak. — Wyostrzać! Wyostrzać!

Józef wykonał manewr, a statek płynął dalej jak gdyby nigdy nic.

— Musiałeś się pomylić! — zauważył rumak. — Zasmarkany wypierdku słodkich wód! Zaráż ci zmacam żebra moją bosmanką!

Bartolomeusz dla odwrócenia uwagi zaproponował, żeby poszukali skarbu.

Rumak zszedł do swej kabiny. Przez kilka godzin studiował mapy i powiedział:

— Kurs na południe. Na szerokości 46°57' i wysokości trzech metrów z pewnością znajduje się skarb. W każdym razie nikt tam nigdy nie był i nie udowodnił czegoś wręcz przeciwnego.

— Ruszajmy — powiedział zachwycony Józef.

I barka popłynęła prosto na południe (musiała kryć się w tym jakaś magia, chyba że rumak specjalnie powiedział południe zamiast północ). To musiało być to, bo z każdym dniem mina mu się coraz bardziej wydłużała.

— Na Neptuna! — zawołał. — Ta piekielna barka wiezie nas prosto na biegun północny.

A rozwścieczona barka szybko zawróciła, co sprawiło, że w niecały miesiąc przybyli na wyspę.

Była to bardzo ładna wyspa. Znajdowały się tam palmy, na palmach małpy, na małpach pchły i stary wulkan pełen wody.

— Jeszcze jeden popapraniec! — zawołał rumak, który przyjął niejaką swobodę języka. Józef i Bartolomeusz zaczerwienili się, lecz nic nie powiedzieli.

Na plaży leżał drobny piasek, a ostrygi galopowały jak okiem sięgnąć. Poszukiwały pereł. W gruncie rzeczy nikt nigdy nie pyta się, skąd ostrygi biorą perły: ot, mamy wyjaśnienie. Perły na próżno się chowały, ostrygi były bardzo wprawne i biegały szybciej od nich.

— Za dużo tych pereł! — powiedział rumak. — Muszą być fałszywe. Szukajmy raczej dublonów brzęczących i kulejących, a na ostatek dobrych! (przeczytał to zdanie w jakichś rozmówkach, nigdy go jednak nie rozumiał).

— Grabula! — zawołali Józef i Bartolomeusz myśląc o swej młodości.

Z komory prowiantowej wyjęli łopaty i motyki (trzeba przyznać, że sztauowanie odbyło się szybko) i ruszyli gęsiego. W swojej sakwie rumak niósł litr rumu, czapkę miał na bakier i zlorzeczył jak potępieniec.

Zatrzymali się nagle pod starym pandanusem, na którym wisiał napis: *Skarb... 50...*

— W porządku — powiedział Józef — skarb jest za pięćdziesiąt...

— Pięćdziesiąt czego? — zapytał rumak.

— Pięćdziesiąt szmatów, do kata! — zawołał Bartolomeusz, który jako jedyny uczył się matematyki.

— To kopujemy? — zapytał Józef.

— Moment! — rzekł rumak. — A jak duży jest jeden szmat?

— To się okaże — odparł Bartolomeusz — Idźmy nieco dalej.

Nieco dalej na drzewie wisiał inny napis, o wiele mniej zniszczony, z którego można było wyczytać:

*Kupujcie obligacje Skarbu Państwa. 50 franków.*

— G...! — zawołał rumak. — Zrobiono nas w konia.

— Na to wygląda! — odrzekł Józef. — Idziemy dalej?

— Podkradasz mi myśli! — zawołał Bartolomeusz. Poszli dalej i "tym razem trafili na

mroczną i ponurą

dolinę, odpowiednią dla skarbów. W kurhan wbity był hebanowy krzyż, a u jego podstawy spoczywał mały, zardzewiały kuferek.

— Tym razem mamy go — powiedział Józef.

Z łomoczącym sercem rumak okrutnie zdzielił kuferek kopytem. Spośród odłamków wyciągnął małe, złote etui, które zawierało pozostałości pergaminu.

Białymi literami na czarnym tle wypisano tam te słowa:

*Człowieku poszukujący, nie szuka) dłużej.*

*Skarb istnieje. Wystarczy go znaleźć.*

*To żaden problem, jak się ma odrobinę fartu.*

To było wszystko.

— Ja spróbuję! — zawołał rumak.

— Durniu! — zawołał Józef. — Tyś nie człowiek, ino koń.

— Żaden koń! Rumak! — powiedział rumak, który poczuł się obrażony.

— Ale jednak! Być może wystarczy tylko pokopać! — rzekł Bartolomeusz.

Wtedy zaczęli kopać i, o cudzie! znaleźli dwa stare szkielety o czaszkach podziurawionych kulami z garłaczy (przynajmniej sądzili, że były to kule z garłaczy, gdyż tylko one mogły zniszczyć tak dokładnie czaszki, że nawet ślad po nich nie pozostał).

Pod szkieletami w bezruchu leżał wielki, stalowy kufer, obłożony drewnianymi płytkami.

— Musiał nieźle dostać w łeb — powiedział Józef — skoro tak się zupełnie nie rusza (przypomniał sobie skarabeusza).

Pomimo wszelkich wysiłków nie udało im się otworzyć kufra. Rumak wziął go na grzbiet i powrócili na barkę.

Rumak jako pierwszy przeszedł po trapie i potknąwszy się o zaczep poleciał głową naprzód, z kufrem na grzbiecie, prosto do luku.

— Szybko to zrobiłeś! — powiedział Józef z podziwem dołączywszy do niego pięć minut później.

Rumak z melancholijną miną nic nie odrzekł. Czapkę miał dziwnie przekrzywioną na czubku czaszki.

— Dlaczego tak ją zakładasz? — zapytał go Bartolomeusz.

— Och! To taki pomysł!... — odpowiedział wykrętnie.

Lecz wieczorem Józef i Bartolomeusz stwierdzili, że befsztyk jakoś szczególnie pachnie koniem.

Nazajutrz usłyszeli głuchoe walenie w kadłub, a długa piroga, pełna rozczochranych wyspiarzy, przybiła do barki.

Wódz wszedł na mostek. Nazywał się Artur.

— Kwik! — powiedział do rumaka.

— Kwik! — odrzekł rumak szyderczym tonem. Wtedy wódz wysiadł uszy stuliwszy po sobie, a piroga

wróciła na brzeg. Wszyscy dzieci płakali.

— Spuściłem ich do gazu — powiedział rumak triumfującym tonem.

— Na to wygląda! — przyznał Bartolomeusz, który zaczął przyzwyczajając się do gwary żeglarskiej.

Więcej nie ujrzeli już dzikusów, tym bardziej, że w dwie godziny później barka podniosła kotwicę. Kufer został starannie wepchnięty pod łóżko rumaka.

Kiedy byli na pełnym morzu, Józef zaproponował, żeby otworzyć kufer.

Poszli poszukać lewarów i obcęgow, a kilka minut później podłoga przedniego mostku była zasłana zemdlonymi ciałami, jako że żaden nie wykazał zdolności w zakresie mechaniki.

Rumak podniósł się pierwszy (był przyzwyczajony do ciosów w głowę) i ocucił Józefa i Bartolomeusza, wylewając im na twarz garnek wrzątku.

Po tym prostym, lecz doskonałym zabiegu obu nieszczęśnikom nie pozostał na bańce ani

jeden włoszek i do końca podróży musieli nosić małe czapeczki.

Jednak następnego dnia rumak wpadł na pomysł

— Weź kufer — powiedział do Bartolomeusza — i połóż go między rufą a masztem bramżagla.

Józef wykonał posłusznie polecenie. Wtedy rumak, wyposażony w siekiere, zaatakował energicznie wielki maszt, który padł prosto na kufer i złamał się wpół.

— A jednak był to dobry pomysł, do stu beczek solonego śledzia! — zakrzyknął. — Kufer jest być może pęknięty.

I rzeczywiście, kufer był pęknięty, a z jego wnętrza wypełzał dym.

— Zobacz co to — powiedział Józef do Bartolomeusza.

— Idź ty — odrzekł Bartolomeusz.

— Ale z was cykory — powiedział rumak. — Idźcie obaj.

Józef zrobił odważnie krok naprzód, lecz był jeszcze o dziesięć metrów od kufra.

— Ja już byłem — powiedział. — Twoja kolej, Bartuś. Bartolomeusz poszedł trochę dalej. Spróbował nawet

podnieść pokrywę. Ku jego wielkiemu przerażeniu kufer otworzył się i, o cudzie! wypełniony był dublonami i kastanietami. W jednym z kątów można było nawet dostrzec dwa funty cukru, nieco zwiędzłego, ale jednak cukru.

— Nie musimy się przejmować! — zawołał rumak. — Wygraliśmy los na loterii (kolejny zwrot nie na miejscu).

I trójka przyjaciół ucztowała aż do następnej niedzieli (akurat była sobota). Nazajutrz rumak powiedział:

— Chłopaki, wszystko to lipa. Jesteśmy bogaci, zafundujemy sobie prawdziwych dzikusów. Józefie, kurs pół-południowy wschód, zachód-ćwierć-północny. Żagle staw, do steru... cała naprzód. Wszyscy na wanty, wielki fok staw i wypuścić uchatki.

Statek pomknął wdzięcznie przez rozszalałe morze.

Po tygodniu wyśmienitej żeglugi dotarli na Wyspę Dzikusów. Józef i rumak wysiedli. Trzy miesiące później, widząc, że nie wracają, Bartolomeusz ruszył na ich poszukiwanie.

W oddali usłyszał warkot tamtamów i dzikie śpiewy, ujrzał również wielkie płomienie unoszące się ku niebu.

Poszedł nieco dalej i trafił na polankę, gdzie straszne, nagie i pokryte farbą istoty tańczyły wokół parującego kotła, z którego wystawała czapka i kopyta.

— Hej! — zawołał. — Gorąco wam?

— I to jak! — odrzekł rumak wystawiając łeb z kotła.

— Już prawie jesteśmy doprani i będziemy mogli wyjść, lecz nie mów tego tym wstrętnym pocziwcom.

— Oczywiście! — odpowiedział Bartolomeusz rycząc jak zarzynany wół. Dzicy usłyszeli go i odwrócili się. Józef i rumak skorzystali z tego i wstali zrobiwszy „Hu!” i zagasili ogień przewracając nań kocioł. Dokonali masakry dzikusów i dołączyli do Bartolomeusza. Ten ostatni zauważył, że są jacyś duzi i tłuści.

— Ubawiliśmy się po pachy! — powiedział rumak.

— Mimo wszystko! — rzekł Bartolomeusz — mogliście wrócić nieco wcześniej.

— Co ty! — zawołał Józef. — Oni nas tuczyle.

— Mogliście byli mi to powiedzieć — rzekł nieco obrażony Bartolomeusz.

— Dobra — odparł rumak — zamknij się majtku. Cisza w szeregu. Spocznij! Wolno palić.

Wrócili na pokład i ustawili żagle ku morzom chińskim, bo Bartolomeusz chciał sobie kupić małego Chińczyka.

Rumak zszedł do swej kabiny, żeby poszukać jakiejś dokumentacji na temat Chin i oto co wyczytał w dziennikach okrętowych (które zresztą sam sporządził).

*Chiny: państwo. Żyją tam Chińczycy.*

*By do nich trafić, należy udać się prowadzącą*

*tam drogą.*

*Podstawowa produkcja: Chińczycy, ryż, soja i mniszek lekarski.*

Na dźwięk słowa „mniszek”, Józef, który był republikaninem, uniósł głowę.

— Precz z klerem! — krzyknął.

— Marynarzu Józefie! — ryknął rumak. — Zakuję was w dyby!

Lecz Józef tam nie trafił, bo zabrakłoby majtków do zwijania żagli i zamiatania kajut.

I pozęglowali ku morzom chińskim.

Barka znajdowała się na pełnym oceanie, a Józef chrapiący w bocianim gnieździe usłyszał nagle melodyjny śpiew napływający od strony morza. Wystawił głowę z gniazda i ujrzał trzy zachwycające syreny, które wystawiały na pokaz swe kuszące piersi i złociste włosy, wyskrzekując aktualnie najmodniejszą śpiewkę.

Nie dostrzegły Józefa. Postanowił splatać im figła. Schwyciwszy leżącego w kącie dorsza rzucił go na głowę najmłodszej, która solidnie opila się wody i wypłynęła spluwając i krztusząc się. Tego samego psikusa zrobił dwóm pozostałym, a kiedy jeszcze były porządnie rozwścieczone, Józef zawołał Bartolomeusza i rumaka, którzy grali w salonowca w kabinie oficerskiej.

Rumak, jak zwykle elegancki, podszedł do relingu i zapytał:

— Jak tam, sakramenckie kobitki, coś się wykuło?

— A może zagracie z nami? — dorzucił uprzejmie Bartolomeusz z wdzięcznym uśmiechem.

Odpowiedziały taką wiązką przekleństw, iż nie wypada jej tutaj odtworzyć.

Rumak zaśmiał się donośnie i rzekł do Bartolomeusza:

— Mieszają nas z błotem.

— Zgadłeś! — powiedział Bartolomeusz. — A gdzie jest Józef?

Józef rechotał jak wieloryb. Lecz mniej mu było do śmiechu, gdy ujrzał na horyzoncie wielką, czarną chmurę, która przesuwała się z piorunującą szybkością. Bartolomeusz usiłował odczynić zły urok przy pomocy kilku naukowo opracowanych sztosów harpunem. Omal nie oślepił rumaka i ciężko zranił Józefa, który w trakcie tej awantury postradał ucho. Zaś chmura urwała się prosto na niego i nikt nigdy nie widział bardziej zmoczonego człowieka.

Jednak nawigacja przebiegała dalej bez żadnych nieszczęść. Dwunastego dnia pochwycili wielką dżonkę, na której nie było żywego ducha i zabrali działa, amunicję i inne łupy.

Wreszcie dotarli do Chin.

Na widok nadpływającej barki synowie niebios zaczęli się tłumnie gromadzić u wejścia do portu.

— Za dużo ich! — ryknął rumak. — Zrobić mi z tym porządek!

Bartolomeusz i Józef rzucili się do dział i dziewiętnastoma wystrzałami zabili trzech Chińczyków.

Ponieważ zachowanie tych co przeżyli stawało się coraz mniej przyjazne, rumak zarządził:

— Rzuć kotwicę. I nie uszkodzić mi tam kluz! (była to uwaga jego pomysłu)

Sprawiło to, że Józef i Bartolomeusz popatrzyli na niego z podziwem, coraz silniej podbarwionym szacunkiem. Całe szczęście nie trwało to długo i rzucili kotwicę.

— Co oni teraz zrobią? — zapytał Józef, który, jak to już zauważono, szczególnie odznaczał się śmiałością.

— Będą nas ścigać! — powiedział rumak.

— Czyli, w gruncie *rzeczy*, odpływamy? — zapytał Bartolomeusz, któremu zdawało się, że zrozumiał.

— Słusznie! — powiedział rumak i zarządził: — Do kabestariu. I to szybko.

Trzy minuty później barka była o trzy mile od brzegu.

— Co robimy? — zapytał Józef.

— Przeberzemy się i wrócimy — odrzekł Bartolomeusz. Lecz rumak absolutnie nie chciał mu pożyczyć swej czapki. Wtedy spalonym korkiem domalowali mu wąsy, zaś Józef i

Bartolomeusz przebrali się za Chińczyków.

Wrócili do portu i zostali przyjęci salwami z chińskiej armaty. Potem podpłynęła do nich dżonka. Ujrawszy ich, kapitan wyglądał na zaskoczonego.

— Wybaczcie nam — powiedział po chińsku — wzięliśmy was za kogoś innego.

Bartolomeusz, który mówił trochę po chińsku, odpowiedział mu w tym języku, że lepsze strzały armatnie niż nic, co było szczytem chińskiej grzeczności i zachwyciło krostowatego mandaryna siedzącego pod baldachimem na przodzie dżonki.

Wtedy wysiedli i zostali przyjęci z całym mnóstwem honorów, a potem zawiezieni sampanem aż na dwór Cesarza Środka (w gruncie rzeczy króla Apaczów). Mieli ze sobą kufer, co pozwoliło im na zakupienie wielkiej ilości kilogramów cukru. Po miesiącu wrócili na morze i udali się na bezludną wyspę, gdzie zbudowali sobie dom i żyli szczęśliwie, aż do dnia gdy zaczęli się nudzić i wyruszyli po nowe przygody, ale do tego jeszcze daleko.

Przypisy:

Prawdopodobny wiek 80 lat. Wielkie umysły spotykają się.

**Boris Vian**